CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Cena 25 zł

Rok V | Warszawa, dnia 8 lutego 1948 r. | Nr 6 (167)

IRENA KRZYWICKA

EPOPEA STALINGRADZKA

Pewnego pięknego jesiennego dnia 1942 roku szłam z moim synkiem Szosą Królewską w kierunku Wilanowa, aby wyrwać się nieco z koszmaru okupowanego miasta. Pola leżały ciche, połyskiwało babie lato, wojna zdawała się nierzeczywista. Rozmawialiśmy o Stalingradzie. Niespokojne oczy przedwcześnie w cierpieniach rozwiniętego dziecka wpatrywały się we mnie z nadzieją i trwogą. „Trzymają się. Wciąż się jeszcze trzymają. Więc co to znaczy? Niemcy nie mogą dać rady? Jak się to dzieje? Jakim cudem ich zatrzymali? Czy Rosjanom uda się wytrwać? Dlaczego zatrzymali ich akurat w tym miejscu?“

Nie wiedziałam. Ale serca nasze płonęły nadzieją. Dzień wydawał się jeszcze bardziej świetlisty. Nie umiałam odpowiedzieć na pytania dziecka i myślałam sobie: „Czy my się kiedy dowiemy, jak to tam było? Czy dostaniemy odpowiedź na te wszystkie pytania?“ Przeżyliśmy już oblężenie Warszawy, nie przeżyliśmy jeszcze powstania. Wiedzieliśmy już jednak, jak otwarte miasto może się bronić. Ale zbyt dobrze znaliśmy trujący smak klęski.

I oto teraz posłuchawszy dobrej rady Ilii Erenburga, chwyciłam chciwie książkę Wiktora Niekrasowa „W okopach Stalingradu“. Dowiedziałam się wszystkiego. Dowiedziałam się też, jak należy pisać o wypadkach tragicznych, w których się samemu brało jak najżywszy udział, jak się pisze historię, będąc jej naocznym świadkiem, i jak się tworzy dzieło sztuki z nazbyt świeżego, pulsującego życiem, ociekającego krwią materiału, co niektórzy uważają za rzecz nieprawdopodobną. Okazuje się jednak, że dla wielkiego talentu wszystko jest możliwe.

Książka Niekrasowa jest autentycznym dokumentem a jednocześnie utworem artystycznym bardzo wysokiej klasy. Nie chciałabym popadać w przesadę, ale wydaje mi się, że jest to jedna z najwybitniejszych książek wojennych w skali światowej. Jej wartości: historyczna, ludzka i formalna są tak doskonale zrównoważone, że odkładając ten tom ma się uczucie całkowitego osiągnięcia, do którego nic już dorzucić ani któremu nic ująć nie można. Przypomina nieco Stendhala, jego surowość, precyzję, dokładność i pozornie beznamiętne opisywanie stanów najwyższych napięć psychicznych. Ale o formie tej zdumiewającej książki pomówimy później, na razie chciałabym się jeszcze zatrzymać nad treścią.

Siłą rzeczy nasuwa się porównanie z Remarque'a „Na zachodzie bez zmian“, która to powieść była rewelacją poprzedniej wojny, jak książka Niekrasowa stanie się z pewnością esencją wojny ostatniej. Istnieje między nimi taka sama różnica, jak między tymi dwiema wojnami: absurdalną rzezią nic nie rozumiejących ludzi, których pchnął w piekielny taniec żarłoczny kapitalizm, i wojną świadomą, jeżeli ją można tak nazwać, wojną obronną, wojną ideologiczną, wojną w obronie cywilizacji. Na tamtą wojnę szli ludzie jak barany, na tę zgłaszali się dobrowolnie najwięksi wrogowie międzyludzkich rzezi, bo tylko z bronią w ręku można było ratować zagrożoną kulturę świata. Postawa Remarque'a jest postawą depresji i apatii, bezsilnego buntu i odbrązowywania „cnót“ wojennych, które nie służą do niczego, jest wielkim krzykiem ludzkim przeciwko przymusowi zabijania i przymusowi ginięcia nie wiadomo po co.

Niekrasow wie, po co zabija i po co każdej sekundy ryzykuje życie; wie tak dobrze (a my razem z nim), że w ogóle nie rozprawia na ten temat. Żadnej agitacji, filozofowania, okrzyków buntu, zniechęcenia czy sztucznego zapału. Sprawa jest jasna. Istnieją rzeczy, które trzeba... Trzeba gasić pożar, bronić się przed powodzią, ratować chore dziecko. Trzeba też bronić ojczyzny, kiedy ją zaatakują, i cywilizacji, kiedy jej grozi zagłada. Ale ojczyzna i cywilizacja, to już za szumne słowa dla Niekrasowa. Nie cierpi zbytecznych słów ten rasowy pisarz. Musimy się ich domyślać. I dlatego poruszają tym mocniej.

Ta postawa wewnętrznej konieczności decyduje o wszystkim. Książka Niekrasowa, mimo że opisuje sprawy tragiczne i groźne, nie jest depresyjna. Przeciwnie, o dziwo, czyta się ją łapczywie, jednym tchem. Jest w istocie swej pogodna, jak wszystkie książki opisujące zwycięską walkę, choćby najcięższą, człowieka z żywiołem. Czyta się ją po trosze jak dzieje wyprawy Nansena, Amundsena, Stanleya czy „Czeluskina“. Jest w niej zgroza, męczarnie i śmierć, ale jest też nieugięta siła człowieka, pasja doprowadzenia do końca podjętego zadania, tryumf wytrwałości, odwagi, pomysłowości ludzkiej nad ogniem, zimnem, upałem, pragnieniem, sennością, zmęczeniem i nieustannie czyhającą zagładą. To, co u Remarque'a jest gorzkim buntem męczonego bez sensu zwierzęcia ludzkiego, u Niekrasowa jest świadomym i celowym wysiłkiem. Nie litujemy się i nie roztkliwiamy nad jego bohaterami, utożsamiamy się z nimi. Ich walka jest naszą walką. Giną. Ale giną też lekarze w czasie epidemii, giną uczeni w laboratoriach i podróżnicy w bezmiernych pustyniach. Wiedzą po co giną, i dlatego śmierć ich nie jest straszna.

W czasie tej walki rozwija się i kwitnie najpiękniejsze zjawisko, jakim może się poszczycić nasza smutna planeta: solidarność ludzka, braterstwo, dobór naturalny pokrewnych dusz. Znów używam szumnych słów, których Niekrasow boi się jak ognia. U niego oszczędność wyrazu doprowadzona jest do ostateczności. Oto dwóch przyjaciół, którzy w czasie niewypowiedzianych trudów zrośli się jak bracia sjamscy, i którzy są dla siebie jedynym oparciem w chaosie pobitych armii, musi się rozstać. Teraz będzie na nich czyhać nie tylko zgroza, ale i samotność. Pożegnanie odbywa się tak:

„— No cóż, to już sobie pójdę — powiada Igor.

— No to już idź — odpowiadam i wyciągam rękę.

Trzeba by coś jeszcze powiedzieć, ale jakoś nie wychodzi.

— Nie żegnam się — mówi Igor.

— Ani ja.

Ściskamy się za ręce.

— Do widzenia, Walega. A pilnuj dobrze porucznika (to do ordynansa).

— Jakże... Musowo.

— No to idę.

— Wszystkiego... Igorku.

— Tak... Twój scyzoryk chyba został u mnie.

— Naprawdę?

— Wczoraj wziąłem od ciebie, kiedyśmy krajali chleb — szuka po kieszeniach. — Jest, wlazł za podszewkę.

Igor podaje mi scyzoryk.

— No to już będzie wszystko. Bądź zdrów.

— Bądź zdrów“.

Psychologiczna prawda takiej pożegnalnej rozmowy o ileż jest wymowniejsza niż stronice subtelnych rozszczepiań włosa na czworo, w których celowała epoka ubiegła. Ileż tu jest powiedziane w tych kilkunastu niewymyślnych słowach. Po co dużo gadać, kiedy można krótko. Tę pasję skrótów doprowadza czasem Niekrasow do ostateczności. Oto wraca jeden z oficerów z posiedzenia sądu nad majorem, który posłał cały batalion na stracenie. Bohater książki kipiąc z oburzenia w napięciu czeka na ten powrót. Najlepsi jego przyjaciele zginęli w niepotrzebnym natarciu. I oto następuje taki dialog:



Wiktor Niekrasow, autor powieści „W okopach Stalingradu“, urodził się w r. 1911 w Kijowie. W roku 1936 ukończył wydział architektury w kijowskim Instytucie Budowlanym, a w r. 1937 Studium Teatralne. Po ukończeniu Studium Teatralnego pracował w charakterze aktora, reżysera i dekoratora w kilku teatrach.

Podczas wojny 1941—1945 walczył na froncie w batalionie saperskim, następnie wskutek odniesionych ran został zdemobilizowany.

Po wojnie pracuje w redakcji ukraińskiego czasopisma „Sztuka Radziecka“, kierując działem plastyki. W tym czasie wydaje książkę „W okopach Stalingradu“.

Świetny debiut młodego inżyniera i eksaktora staje się wielką sensacją literacką Związku Radzieckiego. Niekrasow otrzymuje nagrodę stalinowską. Książka Niekrasowa ukaże się w tym roku w tłumaczeniu polskim dla członków Klubu Dobrej Książki.

„— No co?

— Zdegradowany i do karnej kompanii.

— Mało.

— Wystarczy. Niech się poczołga na brzuchu“.

To wszystko. A ile arkuszy nagryzmoliłby partacz?

Jak nazwać książkę Niekrasowa? Czy to powieść? Pisana jest w pierwszej osobie, na kształt pamiętnika, i autor odrzucił z niej wszystko, co mogłoby trącić fikcją. A jednak nie ma w niej rozlazłości nieprzetrawionego materiału życiowego ani braku perspektywy. Rzeczywistość jest skonstruowana — dzięki umiejętnemu doborowi faktów, dzięki stopniowaniu napięcia, dzięki dynamice emocjonalnej, która od początkowej rozpaczy, pulsującej (bez zbędnych słów) w momencie rozgromienia armii radzieckiej poprzez naprężenie organizacyjne i wysiłek walki, kończy akordem nieprzytomnej radości. Centralnym punktem sił dośrodkowych z początku, odśrodkowych następnie jest miasto Stalingrad. A w tym mieście pewien wzgórek, na którym zrazu zamyślony bohater siedzi z dziewczyną — wojna jeszcze daleko, a potem tam właśnie przeżywa całe ludzkie piekło. Na ten zbieg okoliczności nie kładzie autor żadnego nacisku, a tym bardziej nie pozwala sobie na liryczną wylewność. Ale ten wzgórek staje się mikrokosmosem wojny i wszelkich doświadczeń, jakich dostąpić może człowiek. Koło tego wzgórka, jak koło jądra kryształu, narasta opowieść i organizuje się umiejętnie. Widzimy tyle, ile się może zmieścić w polu widzenia jednego człowieka. Ale to wcale nie mało. Jednocześnie, dzięki temu, że na wydarzenia patrzymy wciąż oczami tegoż inżyniera Kierżencewa, wszystko staje się dla nas bardzo osobiste, niejako prywatne. Nie bez wymowy jest fakt, że właśnie Rosja Radziecka, kraj zjawisk masowych, dała nam wycinek historii pojęty poprzez indywiduum, poprzez człowieka, poprzez jego psychikę i charakter.

Autor i jego bohater są inteligentami o tradycjach intelektualnych (babka Kierżencewa już czytała memoire'y Saint Simona). Będąc przedstawicielem współczesnego radzieckiego świata młodziutki autor jest jednocześnie najwyraźniej produktem starej i skomplikowanej kultury. Czyżby jego przodkiem był znakomity poeta Niekrasow? Jego prostota nigdy nie przechodzi w prostactwo ani prymitywizm, jego pozornie beznamiętna narracja napęczniała jest uczuciem i uderza w niej jasne, czyste, precyzyjne widzenie świata. Niekrasow, jak wszyscy autorzy radzieccy czasu wojny, unika makabry.

„Obrona Stalingradu“ jest skonstruowana jako szereg zazębiających się o siebie ściśle, ale niezbyt długo trwających epizodów. Po trosze technika filmowa, która tak szczęśliwy miała wpływ na literaturę, lecząc ją ze zbytecznego gadulstwa. Epizody makabryczne trwają wobec tego też krótko, i słusznie, bo wiemy, że największa nawet okropność, jaką jest wojna i okupacja, a może nawet życie w obozach koncentracyjnych, nie z samej składa się makabry. Niekrasow z właściwym sobie poczuciem artystycznego taktu umiejętnie rozmieszcza elementy rzeczywistości wojennej, z jej porywami i upadkami duszy, z natarczywym wołaniem lub milknięciem ciała — wobec nakazów wyższego rzędu.

Jedynym zarzutem, jaki można by mu postawić, jest niedostateczne zróżnicowanie charakterów, pewna ich schematyczność. Ale trudno się temu dziwić w utworze pisanym niejako na gorąco. Cóż my wiemy w gruncie rzeczy o ludziach, z którymi zetknęliśmy się niejednokrotnie bardzo blisko w czasie okupacji? W napięciu i ciężarze zdarzeń byli często gorsi lub lepsi niż w życiu codziennym, i któż miał wtedy czas i chęć zagłębiać się w jakieś dociekania psychologiczne. Podobnie w książce Niekrasowa. Parę osób pierwszoplanowych jest nam bliżej znajomych, reszta to raczej pewna suma słów i czynów zamknięta w kształt ludzki. Nie to jest jednak w tym wypadku ważne.

Czytelnik zdziwi się może, jeżeli po wszystkim, co powiedziałam o książce Niekrasowa, dodam teraz, że najważniejsze, dla mnie przynajmniej, w tej książce, to jej styl. Opowieści o wojnie mamy już dużo, we wszystkich językach, żadna jednak dotąd nie była tak pisana. Skąpo, oszczędnie, powiedziałabym — sucho. Nic rozlewności, nic efekciarstwa, żadnych tricków dla budzenia zgrozy lub emocji. Zarówno liryka, jak wszelki komunał tępiony bezlitośnie. Tyle się mówi, ile ścisła konieczność tego wymaga, ani słowa więcej. Ale myliłby się, kto by sądził, że ten szczególny styl jest bezbarwny i niewyrazisty. Przeciwnie, prowadzi prosto do celu. Budzi w nas wszelkie możliwe uczucia jeszcze więcej tym, czego nie dopowiada, niż tym, co mówi wprost. Ma się uczucie, że całe śmiecie literackie, nic nie mówiące opisy, gotowe zdania, efekciarstwo stylistyczne zostały z niej wymiecione na czysto. Jest w tym jakaś klasyczna surowość. Tak się złożyło, że czytałam ostatnio, po raz nie wiem który, „Kroniki włoskie“ Stendhala. Uderzyło mnie podobieństwo stylu i traktowania tematu. Ta sama świadoma oszczędność środków, ta sama siła ekspresji. Bagatela! to nie żarty, jeżeli w Rosji urodził się drugi Stendhal.

Na osobną uwagę zasługują dialogi Niekrasowa, spisane z natury, językiem nieco „wiechowatym“, jakby się u nas powiedziało, gwarą, jaką mówi obecnie młodzież wszystkich krajów. Właściwą cechą i powiedziałabym — rewelacją tego języka, czy to będzie argot paryski, czy gwara warszawska lub rosyjska, jest nieustający i często wysokiej próby humorek, niezależnie od sytuacji, w jakiej te słowa się rodzą. Jakże daleko odbiegliśmy od patosu naszych przodków? O ileż cenniejszy, głębszy dźwięk wydają te, niepojęte na pozór, żarciki w obliczu śmierci i wszelkich okropności, niż obowiązujące ongi w takich wypadkach górnolotne frazesy. O ileż kontrast jest silniejszy i efekt bardziej wstrząsający. I zresztą, taka jest prawda. Tak właśnie się mówiło i w Stalingradzie, i w Warszawie, i w maquis francuskim. Styl ten, który puryści nazwą niechlujnym, był najwspanialszym przejawem postawy wewnętrznej walczącego człowieka: kpiny, szyderstwo, pogarda dla wroga, pomniejszanie, niejako pospolitowanie własnego cierpienia i bohaterstwa, które były tak bardzo zjawiskami codziennymi, i jednocześnie skromność, wstydliwość w tym bohaterstwie i cierpieniu. Zawstydzenie zwłaszcza wobec zawsze jeszcze większego cierpienia i bohaterstwa innych. Niekrasow unika jednak skatologiczności Celine'a. Zapewne jego bohaterowie wyrażali się naprawdę ordynarnie, a jednak odczuwamy nieomylnie autentyczność tego stylu. Nie jest on bowiem fotografią, ale niejako syntezą tego, jak mówi współczesny żołnierz w obliczu niebezpieczeństwa, śmierci i codziennych wojennych trosk. Jego brutalność i pospolitość jest nierzadko przejawem wielkiej wrażliwości i delikatności uczuć. Cóż, wyrażamy je dziś inaczej niż Ruy Blas.

Styl Niekrasowa zarówno w dialogu jest najwyższym osiągnięciem, tej książki, ale styl to człowiek, to dzieło. Wyraża on jego postawę moralną, ideologiczną, artystyczną. Celowość, celowość, oszczędność wyrazu. Bez tego stylu książka byłaby tylko dokumentem, dzięki niemu jest wielkim dziełem sztuki. Jestem fanatyczną zwolenniczką takiego sposobu pisania, może dlatego, że zdaję sobie sprawę, jak jest trudny.

Czy nie za wiele zachwytów z powodu tej książki? Nie sądzę. Ma ona w sobie jakąś surową, klasyczną prostotę i stanowi prawdziwe orzeźwienie po epoce złego smaku, jakim zapewne nasi potomkowie nazwą międzywojenną literaturę. Po pretensjonalności, sztuczności, zakłamaniu i barokowych dziwactwach słownych epoki międzywojennej czas już na nowy klasycyzm.

Irena Krzywicka

TADEUSZ KUBIAK

ŻAL

Choć dom ocalał,
jest bezdomny.
Choć dziewczyna żyje,
jest sam.

Pijany gitarzysta w barze
nad ocalałym tłumem,
jak korpus dziecka bez kończyn
obnosi instrument.

Śpiewa — sam jestem, sam,
źle, że dym nie uniósł,
nie pochłonęła ziemia
oliwkowej komody

i zielonej ściany
i dziewczyny młodej.
Dwukrotnie umarłem,
dwukrotnie pogrzebany.

Z rąk uronił gitarę.
Nawet dłoń nietrzeźwa,
nawet stopa i czoło,
ryte jak płaskorzeźba,

rozcięte do połowy,
zszyte naprędce.
Nawet stopa niepełna,
szrama na ręce.

Śpiewa — sam jestem, sam.
W komodzie jest jeszcze
zagubiona spinka
i krawacik pawi.

Śpiewa — sam jestem, sam.
Dobrze, że ocalał
choć zielony groszek
na lichym jedwabiu.

NAD STAWEM

Dwóch tonów na gitarze nie wybrzdąkam,
bom nie Orfeusz, ani też Serafin.
W stawie, jak na rodzinnej fotografii
odbite razem — ja, ty i jabłonka.

Na srebrny język gitary nie umiem
widoku tego przełożyć. To lepiej.
W wodzie zielonej niebo chmur się sklepi
i księżyc błyśnie od Chopina chmurniej.

Staw wielkopański jest. W nim twarze ludzi
dziwne — odbite płasko w lustrze płynnym.
Jutro znów przyjdą ponad brzeg ten inni,
zanurzą ręce, wodę poczną budzić.

Aż z dna wypłynie biel twarzy, oślepi.
Patrz — znów pomiędzy głowami jabłonka.
Dwóch tonów na gitarze nie wybrzdąkam
na ten temat. Może to i lepiej.

Nieborów

JERZY GRYGOLUNAS

WIERSZ INDONEZYJSKI

W czarnym mieście
od dymów, nocy i śmierci,
siedzi rodzina. Ojciec pali fajkę.
W korkowym kasku indonezyjski księżyc.
Kukurydza smakuje jak jabłka.
Matka łuska żółte kuleczki zakrzywionym nożem.
Patrzy na małe, okrągłe jabłuszka.

Posługiwano się hasłami faszyzmu
skośnooki chłopcze z Indonezji,
a park zstępował po różowych liściach
nad jezioro błękitne, gdzie grał na organkach
ślepy muzyk z Marsylii, na niemieckich organkach
zdradzał palmy francuskie i pieśni.

Budowano krematoria. Zabijają ludzi,
braci żółtych z półwyspu. Wszyscy
są tacy sami. Krew jest odrażająca.
Przeklęte są róże bo kolor ich podobny.

IWAN TURGENIEW

przełożył LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

SCHADZKA

Siedziałem razu pewnego w połowie września w brzozowym gaju. Od samego rana siąpił od czasu do czasu drobny deszczyk na przemian z ciepłymi słonecznymi przejaśnieniami: pogoda była zmienna. Niebo to stawało się całe pokryte pulchnymi białymi obłokami, to znów przecierało się miejscami na chwilę, i wówczas spoza rozstępujących się chmur wyłaniał się błękit, łagodny i czysty, niby prześliczne i rozumem tchnące oko. Siedziałem sobie spoglądając dokoła i nasłuchując. Liście szeleściły mi leciuchno nad głową i już z samego tego ich szelestu poznać można było, jaka to jest pora roku. Nie było to bowiem radosne, roześmiane, wiosenne ich trzepotanie, ani łagodna szeptanina i przeciągłe pogwary lata, ani też oziębłe i lękliwe gaworzenie późnej jesieni, lecz ledwie dosłyszalna, senna paplanina. Słaby wietrzyk leciuchno ciągnął czubami drzew. Wnętrze gaju przemokłego pod deszczem zmieniało nieustannie swój wygląd, zależnie od tego, czy świeciło słońce, czy też przesłaniał je obłok. To wypełniała je jasność, jak gdyby naraz na wszystkim zakwitł tam uśmiech: wysmukłe pnie niezbyt gęsto rosnących brzóz nabierały naraz delikatnego, jedwabistego białego połysku, leżące na ziemi drobne listki stawały się raptem pstre i zaczynały gorzeć dukatowym złotem, a nadobne łodygi wysokich, kędzierzawych paproci, które przybrały już po jesiennemu swą barwę, podobną do koloru przejrzałych winogron, przeświecały zewsząd plącząc się i krzyżując przed oczyma. To znów wszystko dokoła poczynało z lekka błękitnieć: jaskrawe barwy momentalnie przygasały, brzozy stały całe matowo białe, białe jak świeżo spadły śnieg, którego nie tknął jeszcze świecący chłodnym blaskiem promień zimowego słońca. I chyłkiem, podstępnie poczynał mżyć i szeptać po lesie drobniutki deszczyk. Liście brzóz były jeszcze niemal zupełnie zielone, jakkolwiek widocznie już przybladły. Gdzieniegdzie jeno stała samotnie młodziutka brzózka, cała w purpurze lub też cała w złocie, i trzeba było widzieć, jak jaskrawo zaczynała płonąć w słońcu, skoro jego promienie przenikały niespodzianie, mieniąc się i prześlizgując poprzez gęstą sieć cieniutkich gałązek, świeżo opłukanych przez połyskliwy deszcz. Nie słychać było głosu żadnego ptaka: wszystkie poukrywały się i umilkły. Z rzadka jeno zabrzmiał, niby stalowy dzwoneczek, podrwiwający śpiew sikorki.

Nim zatrzymałem się w owym brzozowym lasku, przebyłem ze swym psem wyniosły gaj osikowy. Przyznam się, iż niezbyt lubię to drzewko, osikę z jej jasno-fioletowym pniem i z szarozielonym, metalicznym listowiem, które wznosi możliwie jak najwyżej i rozedrganym wachlarzem rozpościera w powietrzu. Nie lubię wiecznego chwiania się jej krągłych, niechlujnych liści, niezgrabnie przytwierdzonych do długich ogonków. Piękna bywa jedynie czasem w letnie wieczory, kiedy, wznosząc się samotnie pośród niskiej krzewiny, znajdzie się naraz twarzą w twarz wobec rumianych promieni zachodzącego słońca i, lśni, i dygoce, od stóp do głów oblana jednostajną złotawą purpurą, lub też gdy w pogodny i wietrzny dzień zda się płynąć cała szumnie szczebiocząc na tle błękitnego nieba, i każdy jej listek, porwany uniesieniem, pragnie jak gdyby oderwać się, sfrunąć i pomknąć w dal. Na ogół jednak nie lubię tego drzewa i dlatego nie zatrzymawszy się w osikowym gaju dla wypoczynku, dobrnąłem do brzozowego lasku, przymościłem się pod jednym z drzewek, o gałęziach rosnących nisko nad ziemią, a co za tym idzie, mogących osłonić mnie przed deszczem, i nasyciwszy wzrok okolicznym widokiem zasnąłem owym łagodnym i spokojnym snem, jaki jest darem jedynie myśliwych.

Nie powiem, ile czasu przespałem. Skoro jednak rozwarłem powieki, całe wnętrze lasu pełne było słońca i we wszystkie strony, poprzez wesoło szumiące listowie, przeświecało i jak gdyby migotało głębokie błękitne niebo. Obłoki pierzchły, rozproszone przez wiatr, który się naraz zerwał. Pogoda przejaśniła się i w powietrzu czuć było ową osobliwą oschłą świeżość, co napawając serce jakimś rześkim uczuciem zawsze niemal bywa zapowiedzią cichego i pogodnego wieczoru po całodziennej słocie. Miałem już właśnie zamiar powstać i ponownie spróbować szczęścia, gdy naraz wzrok mój zastygł na nieruchomym ludzkim wizerunku. Przyjrzałem się: było to młode wiejskie dziewczę. Siedziało sobie w odległości dwudziestu kroków ode mnie, zwiesiwszy w zamyśleniu głowę i ze złożonymi na kolanach rękoma Na jednej z nich, na pół zgiętej, leżała spora wiązka polnego kwiecia i za każdym jej oddechem zwolna zsuwała się na kraciastą jej spódnicę. Śnieżnej białości koszula, ściągnięta u szyi i u napięstków, układała się krótkimi, miękkimi fałdami dokoła jej talii. Bujne żółte paciorki podwójnym sznurem zwisały z szyi na pierś. Dziewczę było całkiem niebrzydkie. Gęste jasne włosy, ślicznego popielatego koloru, spływały dwoma starannie zaczesanymi półkolami spod wąskiej czerwonej przepaski, nasuniętej prawie na samo czoło, białe jak kość słoniowa. Reszta twarzy ogorzała była tą pozłocistą opalenizną, jaką zwykł przybierać jedynie delikatny naskórek. Nie mogłem dojrzeć jej oczu — nie podnosiła ich. Widziałem jednak wyraźnie wąskie, wysoko sklepione brwi i długie rzęsy. Były one wilgotne. Na jednym z jej policzków błyszczał pod słońce suchy już ślad łzy, jaka stoczyła się aż do samych z lekka pobladłych warg. Cała główka była niezmiernie miła, nie szpecił jej nawet nieco grubawy i kulisty nos. Specjalnie spodobał mi się wyraz jej twarzy: tyle było tam łagodności i prostoty, tyle smutku i tyle dziecięcego jakiegoś zdumienia, wywołanego przez ten własny smutek. Czekała widocznie na kogoś. W głębi lasu rozległ się słaby trzask. Natychmiast uniosła głowę i obejrzała się. W przejrzystym cieniu błysnęły szybko jej oczy: duże, jasne i zalęknione, jak oczy łani. Przez kilka chwil nasłuchiwała nie spuszczając szeroko rozwartych oczu z miejsca , skąd doleciał ów słaby odgłos. Następnie westchnęła i zwolna odwróciła głowę, pochyliła się jeszcze niżej i jęła powoli przebierać kwiaty. Powieki jej poczerwieniały, gorzko ściągnęły się wargi i nowa łza stoczyła się spod gęstych rzęs, zatrzymując się i świetliście migocąc na policzku. Upłynęło tak sporo czasu. Biedne dziewczę trwało w bezruchu, od czasu do czasu wzruszając jeno melancholijnie ramionami i nasłuchiwało, wciąż nasłuchiwało. Znów dał się słyszeć w lesie jakiś szelest. Dziewczę drgnęło. Szelest słychać było w dalszym ciągu, stawał się coraz to wyraźniejszy, zbliżał się. Dał się wreszcie słyszeć odgłos śpiesznych, energicznych kroków Dziewczę wyprostowało się i jak gdyby opanował je lęk. Wytężony wzrok zadrżał i rozgorzał wyczekiwaniem. Skroś gęstwiny migać zaczęła szybko postać mężczyzny. Dziewczę utkwiło w niej wzrok, spłonęło raptownym rumieńcem, twarz rozjaśnił uśmiech radości i szczęścia. Porwała się, by powstać z miejsca, i natychmiast opadła całym ciałem na ziemię, zbladła, stropiła się, i wówczas dopiero rzuciła na przybyłego trwożne i niemal że błagalne spojrzenie, gdy ten przystanął tuż przy niej.

Z wielkim zaciekawieniem spojrzałem nań ze swego ukrycia. Przyznaję, że nie wywarł na mnie korzystnego wrażenia. Wszelkie oznaki wskazywały na to, iż był to rozpieszczony kamerdyner młodego, zamożnego panicza. Strój jego świadczył o pretensjach do dobrego gustu i do nonszalanckiej elegancji: miał na sobie króciutki, zapinany pod szyję płaszcz brązowego koloru, zapewne prezent swego pana, dalej różowy szalik z fioletowymi frendzlami i czarny aksamitny kaszkiet ze złotym galonem, nasunięty na same brwi. Zaokrąglone końce kołnierzyka białej koszuli niemiłosiernie podpierały mu uszy i wpijały się w policzki, nakrochmalone zaś mankiety zakrywały całe dłonie, aż do samych czerwonych krzywych palców, zdobnych w złote i srebrne pierścienie z turkusowymi niezapominajkami. Oblicze przybyłego, rumiane, czerstwe i zuchwałe, należało do liczby twarzy, jakie, o ile to mogłem zaobserwować, gorszą mężczyzn, a w jakich, niestety, nader często gustują kobiety. Widać było z jego strony usiłowanie, by nadać swym nieco ordynarnym rysom wyraz lekceważenia i nudy. Mrużył nieustannie swe i bez tego maleńkie, mleczno szare oczka, stroił grymasy, opuszczał kąciki ust, zmuszał się do ziewania i z niedbałą, choć i nie zupełnie zręcznie udaną obojętnością, bądź to poprawiał rudawe, zuchowato zakręcone baczki, bądź też skubał żółtawe włoski, sterczące na wydatnej górnej wardze. Słowem — krygował się nie do wytrzymania. Zaczął to swoje krygowanie się, skoro tylko dostrzegł oczekującą go młodą wieśniaczkę. Powoli, niedbałym krokiem zbliżył się ku niej, postał chwilę, wzruszył ramionami, włożył obie ręce do kieszeni płaszcza, i ledwo zaszczyciwszy nieszczęsne dziewczę przelotnym i obojętnym spojrzeniem, usiadł na ziemi.

— No i co — zaczął patrząc nadal gdzieś w bok, kiwając nogą i ziewając — dawnoś tu przyszła?

Dziewczę nie było w stanie natychmiast mu odpowiedzieć

— O, dawno, Wiktorze Aleksandrowiczu — wymówiła wreszcie ledwie dosłyszalnym głosem.

— No! (Zdjął kaszkiet, majestatycznie przesunął dłonią po gęstych, mocno kędzierzawych włosach, poczynających rosnąć prawie od samych brwi, i rzuciwszy z godnością wzrokiem dokoła, starannie nakrył znów drogocenną swą głowę). — A jam zupełnie nawet zapomniał. I do tego ten deszcz! — (Znów nastąpiło ziewnięcie). — Roboty moc wszystkiego nie dopatrzysz, a ten jeszcze ci wymyśla. Jutro jedziemy...

— Jutro? — powtórzyło dziewczę i utkwiło weń pełne przerażenia spojrzenie.

— Jutro... No, no, no, proszę cię — dorzucił śpiesznie mocno niezadowolony ujrzawszy, jak dziewczę zaczęło drżeć i zwolna opuściło głowę. — Proszę cię, Akulino, nie płacz. Wiesz, że tego nie cierpię. — (I przy tym zmarszczył swój spłaszczony nos). — W przeciwnym razie pójdę sobie natychmiast... Co za głupstwa — kwękać!

— No, już nie będę, już nie będę — wymówiła pośpiesznie Akulina z trudem hamując łzy. — Więc jutro wyjeżdżacie — dodała po chwili milczenia. — Kiedyż to da Bóg zobaczyć się znowu z wami, Wiktorze Aleksandrowiczu!

— Zobaczymy się, zobaczymy. Nie w przyszłym roku, to później. Mój pan chce zdaje się w Petersburgu otrzymać posadę — ciągnął, niedbale i cokolwiek w nos wymawiając słowa. — Być może również, że i za granicę pojedziemy.

— Zapomnicie o mnie, Wiktorze Aleksandrowiczu — z żalem w głosie odezwała się Akulina.

— Nie, dlaczegoż to? Nie zapomnę. Bądź tylko rozsądna, nie rób głupstw, słuchaj ojca... A ja o tobie nie zapomnę. O, nie (Wiktor przeciągnął się z całym spokojem i znowuż ziewnął).

— Nie zapominajcie o mnie, Wiktorze Aleksandrowiczu — ciągnęła błagalnym głosem. — Ja już was tak chyba kochałam, wszystko bym zdaje się dla was... Mówicie, żebym słuchała ojca, Wiktorze Aleksandrowiczu. Jakże to ja mogę słuchać ojca...

— A bo co? (Wymówił te trzy słowa, jak gdyby wydobywając je gdzieś z głębi brzucha, leżąc na wznak ze splecionymi pod głową dłońmi).

— No, jakże, Wiktorze Aleksandrowiczu, sami przecież wiecie...

Dziewczę zamilkło. Wiktor bawił się przez chwilę stalową swą dewizką.

— Nie jesteś, Akulino, głupią dziewuchą — odezwał się wreszcie — nie pleć przeto bredni. Przecież ja chcę twego dobra, rozumiesz? Nie jesteś oczywiście głupia, całkiem, że tak powiem, zwyczajna chłopka. Matka twoja też nie zawsze była chłopką. Mimo to, nie masz wykształcenia, powinnaś więc słuchać, gdy ci się mówi.

— Ale ja się tak boję, Wiktorze Aleksandrowiczu.

— E-e, co za głupstwa, moja droga: też znalazłaś czego się bać! Cóż tam masz — dodał przysunąwszy się do niej — kwiaty?

— Kwiaty — posępnie odpowiedziała Akulina — Narwałam oto wrotyczy — ciągnęła nieco ożywiona — to dobrze jest dawać cielętom. A tu znów uczep przeciwko skrofułom. Popatrzcie no, jaki to dziwny kwiatek. Takiego dziwnego kwiatka w życiu jeszcze nie widziałam. Oto niezapominajki, a to fiołki... A to oto zerwałam dla was — dodała wydobywszy spod żółtej wrotyczy małą wiązkę modrych bławatów, przewiązanych cienką trawką. — Chcecie?

Wiktor leniwym ruchem sięgnął po kwiaty, wziął je, powąchał niedbale i począł obracać w palcach spoglądając w pełnym dostojeństwa zamyśleniu ku górze. Akulina patrzyła nań. W jej smutnym spojrzeniu tyle było tkliwego oddania, tyle kornego uwielbienia i miłości. I bała się go nieco, i nie śmiała płakać, i żegnała się z nim, i po raz ostatni syciła nim swój wzrok. A on leżał rozwalony jak basza i z wyrozumiałą cierpliwością i pobłażaniem przyjmował jej adorację. Przyznaję, że z oburzeniem przyglądałem się czerwonej jego twarzy, na której zza udanej lekceważącej obojętności przebijała zaspokojona i doznająca przesytu miłość własna. Akulina była w owej chwili tak piękna, cała jej dusza namiętnie, z ufnością rozwarła się przed nim, lgnęła, tuliła się do niego. A on... on upuścił bławatki na trawę, wyjął z bocznej kieszeni palta okrągłe szkiełko w brązowej oprawie i jął wciskać je sobie do oka. Mimo jednak, iż usiłował przytrzymać je przy pomocy ściągniętych brwi, uniesionego ku górze policzka a nawet i nosa, szkiełko nie chciało się trzymać i wciąż wypadało mu do ręki.

— Co to? — spytała wreszcie zdziwiona Akulina.

— Monokl — odpowiedział Wiktor z powagą.

— Na cóż to?

— A żeby lepiej widzieć.

— A no, pokażcie.

Wiktor skrzywił się, lecz podał jej szkiełko.

— Uważaj tylko, żeby nie stłuc.

— Nie bójcie się, nie stłukę. — (Akulina nieśmiało podniosła je do oka) — Nic nie widzę — wyznała naiwnie.

— Ale zmruż oko, oko — rzekł Wiktor tonem niezadowolonego mentora. (Akulina przymrużyła oko, przy którym trzymała szkiełko). — Ależ nie to, nie to, głupia! To drugie! — krzyknął Wiktor i nie dając jej możności poprawienia się, odebrał monokl.

Akulina spiekła raka, zaśmiała cichutko i odwróciła.

— Widać nie przy mnie robiony — powiedziała.

— No chyba!

Biedaczka umilkła na chwilę i głęboko westchnęła.

— Ach, Wiktorze Aleksandrowiczu, jakże ciężko nam będzie bez was! — rzekła naraz.

Wiktor przetarł monokl połą płaszcza i włożył z powrotem do kieszeni.

— Tak, tak — odezwał się wreszcie — z początku będzie ci rzeczywiście ciężko. — (Tu poklepał ją protekcjonalnie po ramieniu. Akulina zdjęła zwolna z ramienia jego rękę i nieśmiało ją pocałowała). — No, tak, tak, z ciebie to naprawdę dobra dziewczyna — ciągnął uśmiechając się z wyraźnym zadowoleniem. — Lecz cóż robić? Zastanów się sama! Nie możemy przecież z moim panem tu pozostać: oto już blisko zima, a na wsi zimą — wiesz sama jak obrzydliwie. Co innego w Petersburgu! Pełno tam takich po prostu cudów, jakich ty, głupia, we śnie nawet nie potrafisz sobie wyobrazić. Jakie domy, ulice, a towarzystwo, wykształcenie — wprost na podziw!... (Akulina słuchała go pochłonięta uwagą, z rozchylonymi nieco, jak u dziecka wargami). — Zresztą — dodał Wiktor zmieniając pozycję — po co ja ci to wszystko mówię? Przecież ty tego nie potrafisz zrozumieć.

— A dlaczego, Wiktorze Aleksandrowiczu. Zrozumiałam. Wszystko zrozumiałam.

— Patrzcie ją!

Akulina stropiła się.

— Dawniej inaczej żeście ze mną rozmawiali, Wiktorze Aleksandrowiczu — wymówiła nie podnosząc oczu.

— Dawniej... Dawniej! Patrzcie no!... Dawniej — zauważył jak gdyby oburzony.

Czas jakiś oboje milczeli

— Trzeba mi już jednak iść — rzekł Wiktor i wsparł się na łokciu...

— Zaczekajcie jeszcze chwileczkę — błagalnym głosem powiedziała Akulina.

— Na cóż mam czekać?... Pożegnałem się już przecież z tobą.

— Zaczekajcie — powtórzyła Akulina.

Wiktor położył się znowu i jął pogwizdywać. Akulina wciąż nie spuszczała z niego wzroku. Mogłem dostrzec opanowujące ją powoli wzruszenie. Wargi jej raz po raz kurczowo drżały, blade policzki pokryły się lekkim rumieńcem...

— Wiktorze Aleksandrowiczu — przemówiła wreszcie przerywanym głosem. — Nieładnie to z waszej strony... nieładnie, Wiktorze Aleksandrowiczu: doprawdy!

— Co nieładnie? — spytał Wiktor marszcząc brwi i zwracając ku niej z lekka wzniesioną głowę.

— Nieładnie, Wiktorze Aleksandrowiczu. Choćbyście mi dobre słówko rzekli na pożegnanie. Choćbyście słóweczko powiedzieli mnie, biednej sierocie...

— Cóż ci mam powiedzieć?

— Nie wiem. Wy lepiej o tym wiecie, Wiktorze Aleksandrowiczu. Odjeżdżacie oto i choćby słóweczko... Czym ja na to sobie zasłużyłam?

— Jakaż ty jesteś dziwna! A cóż ja mogę zrobić?

— Choćby słóweczko...

— Ględzisz wciąż jedno w kółko — rzekł Wiktor podrażnionym tonem.

— Nie gniewajcie się, Wiktorze Aleksandrowiczu — dodała pośpiesznie Akulina hamując łzy.

— Ja się nie gniewam, ty tylko jesteś głupia... Czego chcesz? Nie mogę się przecież z tobą ożenić! Wiesz, że nie mogę? No, więc czego chcesz? Czego? — (Zbliżył ku niej twarz, jak gdyby wyczekując na odpowiedź, i rozczapierzył palce).

— Nic nie chcę... nic — odparła jąkając się Akulina ledwo śmiąc wyciągać ku niemu drżące swe ręce. — Tak tylko, choćby słóweczko na pożegnanie...

I łzy potoczyły się jej z oczu strumieniem.

— No, oczywiście, będzie teraz beczeć — wycedził flegmatycznie Wiktor, nasuwając na oczy kaszkiet.

— Nic nie chcę — ciągnęła szlochając Akulina z ukrytą w dłoniach twarzą. — Lecz jakież to będzie teraz dla mnie życie w domu, jakie? I co mnie, nieszczęsną, czeka? Za niekochanego, sierotę, wydadzą... Biednaż moja główeńka!

— Śpiewaj, śpiewaj — zamruczał półgłosem Wiktor przystępując z nogi na nogę.

— A on choćby słóweczko, choć jedno... Że to niby, Akulino, że niby ja...

Gwałtowne, wstrząsające piersią łkanie nie pozwoliło jej skończyć. Padła twarzą na trawę i gorzko zaczęła płakać... Całe jej ciało spazmatycznie drgało, a głowę raz po raz podrzucało ku górze... Długo hamowana rozpacz wylała się wreszcie strumieniem. Wiktor postał nad nią, postał, wzruszył ramionami, odwrócił się i zaczął oddalać wielkimi krokami.

Minęło kilka chwil... Akulina uspokoiła się, podniosła głowę, obejrzała dokoła, klasnęła w dłonie. Chciała biec za nim, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa i upadła na kolana... Nie wytrzymałem i rzuciłem się ku niej. Skoro tylko jednak zdążyła mi się przyjrzeć, nie wiadomo skąd znalazła w sobie siłę: zerwała się z lekkim okrzykiem i znikła za drzewami zostawiając na ziemi porozrzucane kwiaty.

Postałem chwilę, podniosłem wiązankę bławatków i wyszedłem z gaju na pole.

Słońce znajdowało się już nisko na bladym, jasnym niebie, zdawało się, że promienie jego również przybladły i stały się chłodniejsze: nie lśniły, lecz rozpływały się równym, wodnistym niemal światłem. Do wieczoru zostało nie więcej niż pół godziny, a zorza zaledwie zaczynała się jarzyć. Gwałtowny wiatr dął mi w twarz pędząc poprzez żółte, suche rżysko. Śpiesznie przed nim wznosząc się do góry, pędziły przez drogę, wzdłuż skraju lasu pokurczone drobne liście. Ściana gaju, zwrócona ku polu, drżała cała i iskrzyła się drobnym migotaniem, wyraźnie lecz nie jaskrawo Na czerwonawej trawie, na łodygach, na źdźbłach — wszędy chwiały się i błyszczały niezliczone nitki babiego lata. Przystanąłem.. Ogarnął mnie smutek Poprzez smętny choć i świeży uśmiech gasnącej natury skradała się ponura groza zbliżającej się zimy. Wysoko nade mną, z wysiłkiem, energicznie tnąc skrzydłami powietrze, przeleciał czujny kruk. Obróciwszy głowę spojrzał na mnie z ukosa, poderwał się ku górze i pokrakując zniknął za lasem. Wielkie stado gołębi przemknęło żwawo od strony stodoły i zakołowawszy raptownie wysokim słupem, pośpiesznie rozsiadło się po polu — oznaka jesieni! Ktoś przejechał za nagim pagórkiem turkocząc donośnie pustym wozem...

Wróciłem do domu. Ale postać nieszczęśliwej Akuliny na długo utkwiła mi w pamięci i jej bławatki, dawno już zwiedłe, dotychczas przechowuję u siebie.

Iwan Turgeniew

przełożył

Leonard Podhorski-Okołów

RYSUNKI TADEUSZA KULISIEWICZA



Akt rysunek (pióro-tusz)



Akt rysunek (pióro-tusz)

WŁODZIMIERZ ZAJĄCZKOWSKI

ALISZER NAWOI

Poeta i mąż stanu (1441–1501)

Jedną z najbardziej znanych postaci w historii kultury Azji Środkowej jest twórca literatury uzbeckiej, Aliszer Nawoi. Aby zrozumieć jego twórczość i zasługi, należałoby się pokrótce zapoznać z dziejami państwa, w którym żył i działał wielki poeta.

W r. 1405 zmarł niezmordowany zdobywca Timur, którego liczne wyprawy spustoszyły ogromne obszary od Hindukuszu do morza Śródziemnego. Jego następcy (4 synów i 18 wnuków), zwani powszechnie Timurydami, mieli trudne zadanie podziału między siebie dziedzictwa Żelaznego Kulawca. Zaczęły się walki wewnętrzne, z których zwycięzcą wyszedł najmłodszy syn Timura, Szachruch. Szachruch otrzymał od ojca Chorasan, a w r. 1409 zdobył Samarkand. Czasy panowania Szachrucha to okres pokoju i budownictwa. Władca zdobił podległe sobie miasta i wznosił piękne budowle. Pociągała go również literatura; na jego dworze przebywało wielu poetów z całego kraju. Szachruch interesował się zarówno literaturą współczesną, jak i utworami minionych wieków, a zgromadziwszy na swoim dworze najlepszych kaligrafów i miniaturzystów, zebrał wyjątkowo cenną kolekcję rękopisów utworów artystycznych i prac naukowych.

Następca Szachrucha, jego syn Ułubek (1409—1441) nie tylko otaczał opieką naukę, lecz sam studiował z zapałem astronomię. Zachowane w pobliżu Samarkandu ruiny wzniesionego przez Ułubeka obserwatorium i jego prace z dziedziny astronomii wskazują, że nie był to dyletantyzm ukoronowanego amatora, lecz głęboka i postępowa na owe czasy nauka. Władca ten nie mógł się jednak zbyt wiele nauką zajmować; pod koniec jego panowania wybuchły zamieszki wewnętrzne, w czasie których zginął.

Po długotrwałych walkach sytuację opanował jeden z licznych prawnuków Timura, sułtan Abu-l Gazi Husejn Bajkara, który skupił pod swoją władzą rozległe obszary i stolicą państwa uczynił Herat. Za jego długiego panowania (1469—1506), które było okresem pokoju na podległych mu ziemiach, Herat stał się centrum życia kulturalnego, skutecznie rywalizując z podupadłym wówczas Samarkandem. Można twierdzić bez przesady, że w owym czasie najwybitniejsze talenty ogromnego państwa Timurydów, wszyscy najznakomitsi uczeni, pisarze, artyści, muzycy, architekci i przedstawiciele wszelkiego rodzaju rzemiosła artystycznego skupili się w stolicy Husejna Bajkary. Wpłynęły na to niewątpliwie rozległe zainteresowania sułtana, który sam pisał niezłe wiersze, ale główną zasługę należy przypisać poecie Aliszer Nawoi, który w jego radzie wybitną odgrywał rolę.

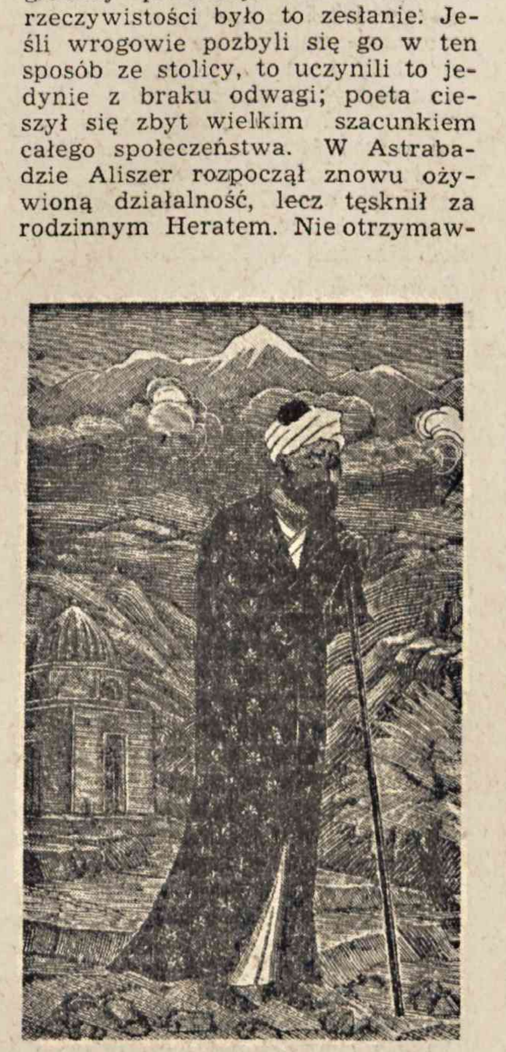
Nawoi — to niezwykła postać w historii Azji Przedniej. Wszechstronnie utalentowany, był genialnym poetą, głębokim znawcą historii i literatury, dobrym architektem, malarzem, muzykiem i namiętnym miłośnikiem wszelkich ludzkich umiejętności.

Aliszer urodził się w Heracie 9 lutego 1441 r. Ojciec jego, Kyjas ed-Din Kiczkine, zarządzał w imieniu Timurydy Abu-l Kasima Babura miastem Sebzewar. Gdy po śmierci Szachrucha powstały wewnętrzne zamieszki, Kiczkine musiał wraz z synem uciekać. Młodość swą spędził Aliszer na nauce z dala od ojczyzny, studiując gorliwie w najlepszych zakładach naukowych (medrese) Meszchedu i Samarkandu. Gdy w rodzinnym mieście zapanował spokój, Nawoi wrócił do Heratu. W r. 1496, podczas uroczystości z okazji wstąpienia na tron sułtana Husejna, Aliszer złożył w darze nowemu władcy odę (kasydę). Sułtan przyjął poetę do grona swych dworzan, nadając mu tytuł „muhurdara" (strażnika pieczęci). W r. 1472 Husejn oceniając niepospolite zdolności poety nadaje mu tytuł emira (skrócone na „mir" — dlatego historycy nazywają go Mir Aliszer) i mianuje wezyrem. Pewny, że zarząd krajem spoczywa w rękach zaufanego męża, sułtan może mniej czasu poświęcać sprawom państwa i oddać się sztuce, a w jeszcze większym stopniu „zbliżeniu do córki winnej latorośli", jak mawiali współcześni poeci, tj. po prostu pijaństwu, któremu ulegało wielu Timurydów.

Nawoi rozwinął tymczasem szeroką działalność: budował zakłady naukowe, szpitale, łaźnie, wznosił parki. Zgromadziwszy uczonych z całego państwa, Aliszer poruczył im sporządzenie kroniki i komentowanie starych dzieł naukowych. Popierał muzyków, zajmował się malarstwem, architekturą, kaligrafią. Niepospolity mecenas, opiekował się nie tylko nauką i sztuką, ale również rzemiosłem artystycznym i techniką. Jeden z jego majstrów badał sposoby wyrobu porcelany i po długich doświadczeniach zaczął wyrabiać naczynia, pod względem jakości prawie nie ustępujące chińskim. Ten sam majster wykonał również zegar, na którym postać z laską w ręce wybijała co godzina odpowiednią ilość uderzeń.

W r. 1476 Aliszer wskutek intryg dworskich zrzekł się godności wezyra, oddając się całkowicie umiłowanej poezji. W tym czasie zaprzyjaźnił się z wybitnym poetą, szejchem derwiszów (kierunku filozoficznego zw. sufizmem) Abdurrahmanem Dżamim (1414—1492).

Autorytet, jakim się cieszył Nawoi, nie podobał się jego wrogom, postanowili więc pozbawić go wpływu na bieg życia politycznego. W tym celu mianowano go zarządcą głuchej prowincji Astrabadu. W rzeczywistości było to zesłanie. Jeśli wrogowie pozbyli się go w ten sposób ze stolicy, to uczynili to jedynie z braku odwagi; poeta cieszył się zbyt wielkim szacunkiem całego społeczeństwa. W Astrabadzie Aliszer rozpoczął znowu ożywioną działalność, lecz tęsknił za rodzinnym Heratem. Nie otrzymawszy oficjalnego zezwolenia na powrót, wrócił do Heratu samowolnie.



Aliszer Nawoi

Kiedy między sułtanem Husejnem a jego synem doszło do zbrojnego konfliktu, sułtan wyruszając na wyprawę powierzył rządy w stolicy Aliszerowi. Na powitanie powracającego władcy wyjechali wszyscy dostojnicy. W gronie emirów był również Nawoi. Gdy zbliżył się orszak sułtana, Aliszer musiał zejść z konia, aby mu oddać ukłon do ziemi, ale tak bardzo był osłabiony, że nie mógł już powstać o własnych siłach. Przewieziono go do Heratu i powierzono troskliwej opiece lekarskiej, wszystkie wysiłki okazały się jednak daremne; 3 stycznia 1501 r. poeta zakończył życie. Zwłoki jego złożono na wieczny spoczynek obok wielkiego meczetu w Heracie. Zgromadzona w czasie pogrzebu ludność całego miasta szczerze opłakiwała swego opiekuna i dobroczyńcę.

Ten genialny poeta znał także metody pracy uczonego. Rozumiał doskonale, że aby oddać subtelności języka macierzystego, należy nad nim długo i uporczywie pracować, dokładnie i gruntownie go poznać. Wytężona praca nad pogłębieniem języka tureckiego umocniła go w przekonaniu, że ten bogaty język ma duże walory artystyczne i w niczym nie ustępuje wszechwładnie wówczas panującemu w życiu kulturalnym językowi nowoperskiemu. Aliszer zaczął od wszechstronnego poznania dotychczasowego dorobku literatury perskiej. Że opanował gruntownie język perski, świadczy o tym jego dywan-zbiór wierszy lirycznych, gdzie używa pseudonimu „Fani" (Przemijający). W wierszach pisanych językiem macierzystym nazywa już siebie „Nawoi" (Piewca). Zgłębiwszy technikę wiersza perskiego, wprowadza ją do utworów w języku rodzimym. Pierwszy dywan turecki ukończył w r. 1465-6, mając 24 lata. Liryki nie zaniechał Aliszer do starości. Cztery liryczne zbiory odzwierciedlają okresy jego życia; są to:

1. „Dywan dzieciństwa" („Garaib as-sigar"), 2. „Dywan młodości" („Nawadir asz-szabab"), 3. „Dywan wieku dojrzałego" („Badai al-wasat") i 4. „Dywan starości" („Fawa'id al-kibar").

Księga „Zebrania ludzi subtelnych" (Madżalis an-nafais") to studium z historii literatury, w którym daje charakterystykę poetów i ich twórczości. Z tym utworem łączą się trzy niewielkie monografie o Dżamim i dwóch innych poetach.

Teoretyczne zagadnienia języka i literatury porusza Aliszer w nader ciekawym „Sporze dwóch języków" („Muhakammat al-lugatajn"), tj. języka tureckiego i perskiego, i w niewielkich pracach o metryce („Mizan al-awzan") i technice układania szarady poetyckiej „Risale—i muamma".

Wiele rozpraw poświęcił historii dawnych królów Iranu — „Tarich-i muluk-i Adżam", proroków — „Tarich-i anbija wa hukama", „Czihil hadis" (40 legend o słowach i działalności proroka Mohammeda) i znakomitych szejchów „Chalat-i sejjid Hasan-i Ardeszir", „Chalat-i pehlewan Szems-ed-Din Muhammed".

Za najwybitniejsze utwory Nawoi należy uważać sześć wielkich poematów, powstałych w latach 1483 — 1485. Są to: 1) „Zdziwienie sprawiedliwych" („Hajrat al-abrar"), poemat o treści filozoficznej; 2) „Lejla i Medżnun", podanie o tragicznej miłości arabskiego poety Medżnuna; 3) „Ferhad i Szirin", opiewające dzieje miłości władcy Chosrewa do królewny Szirin; 4) „Siedem planet" („Sab'sajara") — historia przygód Behrama Gura; 5) „Ściana Aleksandra" („Sadd-i Iskandari) — powieść o Aleksandrze Macedońskim i 6) „Język ptaków" („Lisan at-tajr") — poemat o treści alegorycznej.

Dorobek pisarski Aliszera obejmuje 100.000 bejtów (podwójnych wierszy).

Tematyka jego twórczości jest niezwykle różnorodna, reprezentuje wszystkie ważniejsze rodzaje ówczesnej literatury. Nie jest to przypadek, Nawoi świadomie starał się wykazać wszechstronność i pełną przydatność języka tureckiego. Przyswajając literaturze swego kraju wszystkie formy, dowiódł, że jego język macierzysty sprosta każdemu zadaniu; odda zarówno skomplikowaną grę przenośni, jak i ścisłe rozumowanie naukowe.

Sześć poematów Aliszera są tzw. „odpowiedziami" (nazira) na poematy jego poprzedników, napisane w języku perskim. Pierwsze pięć utworow powtarzają główne tematy słynnej „Pentalogii" („Hamse") wielkiego poety azerbejdżańskiego, Nizamiego (por. „Odrodzenie", nr 151). Szósty poemat jest odpowiedzią na „Rozmowę ptaków" (Mantik at-tajr) sufijskiego poety Ferid ed-Dina Attara (1119—1230).

Zwyczaj pisania takich odpowiedzi był szeroko rozpowszechniony w Azji Przedniej. Na czym to polegało? Poeta wybiera temat swego poprzednika, zachowując przy tym imiona głównych bohaterów i pewne umowne momenty rozwijania akcji, natomiast charaktery, motywacje ich czynów i powiązanie zdarzeń kształtuje według własnego uznania. Są to pewnego rodzaju zawody z poprzednikiem. Rozwiązanie wiadome jest czytelnikowi z góry, o ile zna treść utworu, na którym „odpowiedź" się opiera. Czytając ją interesuje się głównie tym, jak autor motywuje postępowanie swego bohatera, w jaki sposób dochodzi do konfliktu, a nie rozwiązaniem konfliktu. Tytuł poematu jest najczęściej aluzją do tytułu oryginału, powtarza jego budowę rytmiczną lub z nim rymuje.

Jest wielką zasługą Nawoi, że pisząc w języku ojczystym wykształcił go i uczynił językiem literackim. Uzyskał za to tytuł „protoplasty literatury uzbeckiej". Jako mecenas o subtelnym poczuciu artystycznym zrobił dużo dla rozwoju nauki i sztuki. Dzięki niemu powstało również wiele instytucyj użyteczności publicznej.

Znaczenie tego niepospolitego poety, pisarza i myśliciela oceniono dawno; świadczą o tym liczne przekłady, studia i monografie. Poświęcono mu również wiele ksiąg pamiątkowych z artykułami wybitnych uczonych m. i. wydany w r. 1928 pod redakcją W. W. Bartolda zbiór „Mir-Ali-Szir". W r. 1940 ukazała się w Taszkencie zbiorowa praca: „Protoplasta literatury uzbeckiej". W r. 1946 staraniem Instytutu Wschodoznawstwa Akademii Nauk ZSRR pojawiła się w druku księga pamiątkowa „Aliszer Nawoi", zawierająca artykuły orientalistów radzieckich. Pisarz uzbecki, Ajbek, w powieści „Nawoi", przetłumaczonej w r. 1946 na język rosyjski, opisał bogate życie i twórczość tego znakomitego poety i działacza politycznego.

Dobrze by było, gdyby i u nas znalazł się ktoś, kto by zechciał literaturze polskiej przyswoić utwory tego wielkiego poety.

Włodzimierz Zajączkowski

BREWERIE oraz przekłady Tadeusza Żeleńskiego (Boya) kupię
Zgłoszenia: Warszawa-Praga, Wileńska 13, Zofia Żeleńska

DEKLARACJA

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia" i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).

Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko ....

Adres ....

.... *(podpis)*

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa. Daszyńskiego 14. Klub Literacki „Odrodzenia".

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

Włoskie nowości wydawnicze

KSIĄŻKA CARLA LEVI

Największym powodzeniem cieszy się nadal we Włoszech książka Carla Levi pt. „Çristo si é fermato a Eboli" („Chrystus zatrzymał się w Eboli"), której już szóste wydanie ukazało się po wojnie. Urodzony w 1902 r. autor rozpoczął swą działalność życiową — podobnie jak nasz Boy — od medycyny, by z kolei zostać malarzem i pisarzem. Interesował się polityką, był lewicowcem i przeciwnikiem faszyzmu, toteż Mussolini w czasie wojny abisyńskiej zesłał go na dwa lata do zapadłej wioski południowych Włoch. W dzikich górach Lukanii Carlo Levi odkrył nowy świat, zapomniany przez Boga i ludzi. „Nie, nie jesteśmy chrześcijanami, mówili mu jego mieszkańcy, Chrystus zatrzymał się w miasteczku Eboli, gdzie się kończy szosa dochodząca znad morza, z Salerna, do nas nie dotarł; nie jesteśmy chrześcijanami, nie jesteśmy ludźmi, nie uważają nas za ludzi ale za zwierzęta". Levi wyjaśnia: nie dotarł w góry Lukanii ani Chrystus, ani czas, ani nadzieja, ani duch, ani rozum, ani historia. Nie dotarł Chrystus, nie dotarli Rzymianie, którzy opanowali tylko wielkie gościńce, omijając góry i lasy, nie doszli Grecy, którzy osiedlali się na wybrzeżu. Ludzie w górach Lukanii, za miastem Eboli, żyją tak, jak żyli trzy tysiące lat przed Chrystusem.

Ciekawemu, barwnemu i dowcipnemu opisowi tego nieznanego świata — zawdzięcza Levi ogromne powodzenie swej książki również poza granicami Italii. Przed rokiem jako reprezentant odrodzonych Włoch objechał Stany Zjednoczone z odczytami, które zyskały wielkie powodzenie. Książka jego została już przetłumaczona na francuski, niemiecki, duński, szwedzki, węgierski. Podobno b. ambasador Wysocki tłumaczy ją już na język polski.

NAGRODA BELLONCI

We Włoszech nie ma obecnie ani PENClubu, ani związku literackiego, który skupiłby ludzi pióra, na taką skalę jak np. w Polsce. Na miejsce przedwojennego związku faszystowskiego nie powstała dotychczas nowa instytucja.

Tradycje dzielnicowe Włoch, tak silne w dziedzinie kulturalnej, nie przyspieszają centralizacji na polu literackim, zwłaszcza że powołanie do życia nowej ogólnonarodowej oficjalnej organizacji odrodziłoby spory o literatów, którzy współpracowali z faszyzmem.

W poszczególnych miastach literaci i artyści skupiają się w swych prowincjonalnych, prawicowych lub lewicowych organizacjach, lub też wokoło pewnych osób. Tak jest w Rzymie, gdzie literaci grupują się koło powieściopisarki Alby de Cespedes i redagowanego przez nią miesięcznika „Mercurio", najlepszego po wojnie pisma literackiego Włoch, jak też koło małżeństwa Marii i Alfreda Bellonci.

Maria Bellonci jest powieściopisarką, Alfredo krytykiem i kierownikiem działu literackiego wielkiego dziennika rzymskiego; co niedzielę przyjmują u siebie przyjaciół, literatów i artystów. Uczestnicy tych niedzielnych wieczorów — amici della domenica — są elitą świata kulturalnego stolicy Włoch. Raz na rok, w czerwcu, przez głosowanie przyznają nagrodę za najlepszą powieść sezonu. Nagroda wynosi obecnie pół miliona lirów i funduje ją któryś z zamożnych przemysłowców, jakich nie brak w tym kraju.

W tym roku „nagroda Bellonci" przypadła w udziale nieznanemu dotychczas autorowi Ennio Flaiano (ur. w 1910 r.) za jego pierwszą powieść „Tempo di uccidere" („Czas, aby zabić"). Akcja jej toczy się dziesięć lat temu w Abisynii.

„Afryka jest rynsztokiem wszelkich świństw" powiada autor, opisując przygody włoskiego porucznika rezerwy, który stał się przypadkiem dezerterem w czasie abisyńskiej kampanii, i który zraniwszy przypadkiem dziewczynę, swą kochankę, dobija ją z przerażenia i grzebie w ziemi jej trupa, aby uniknąć ewentualnego skandalu. Później dowiaduje się, że była trędowata, wobec czego jest przekonany, że on również zaraził się trądem. Ze strachu przed tą chorobą chce popełnić samobójstwo, ale w ostatniej chwili braknie mu odwagi. Potem próbuje zabić doktora z obawy przed zamknięciem w obozie dla trędowatych. Dla tego samego powodu dezerteruje z wojska. Ma teraz jeden cel przed sobą: zakraść się na statek płynący do Włoch, bo tam tylko, sądzi, będzie mógł się wyleczyć ze swej strasznej choroby. W tym celu kradnie koledze majorowi pieniądze, a następnie aby uniknąć oskarżenia, uszkadza mu samochód, licząc, że major roztrzaska się w górskiej przepaści. Gdy ten plan nie udaje się, ukrywa się w opuszczonej wiosce abisyńskiej, niedaleko grobu zabitej przez siebie kochanki. Tam staremu Abisyńczykowi udaje się go wyleczyć. Odzyskawszy zdrowie postanawia oddać się w ręce sprawiedliwości. Wraca do oddziału, gdzie ku jego zdziwieniu koledzy przyjmują go obojętnie, jakby wrócił z normalnego urlopu — okazuje się, że nikt go nie zadenuncjował. Pułk wraca do Włoch, bohater książki... do normalnego życia...

Książka daje obraz smutnego życia tubylców abisyńskich, obojętnych na swe losy, przejętych fatalistyczną rezygnacją oraz dobrze maluje ponure nastroje żołnierzy włoskich, zdobywających ten kraj.

NAGRODA VIAREGGIO

W sierpniu wielkości świata literackiego Włoch zjeżdżają się we Viareggio, by tam wylegując się na zalanej słońcem plaży lub przechadzając w cieniu pinety, przyznać doroczną nagrodę literacką imienia tej sławnej plaży. W tym roku ogólnie sądzono, że nagrodę otrzyma Moravia za swą najnowszą powieść „La Romana".

Alberto Moravia jest od kilkunastu lat najpoczytniejszym powieściopisarzem Włoch. Debiutował, mając lat dwadzieścia czy nawet dziewiętnaście, powieścią o życiu bogatej burżuazji, z której sam pochodzi, „Gli infifferenti". Degenerację tej klasy przedstawił na przykładzie życia rodziny, w której matka, córka i przyjaciółka matki mają tego samego kochanka, a syn zostaje kochankiem owej przyjaciółki, która mu się narzuca ze swą miłością; czyni to nie z pożądania, gdyż żywi do niej raczej wstręt — lecz z zupełnej obojętności na sprawy tego świata — stąd tytuł książki.

Drugą powieścią Moravii był „Agostino", w którym przedstawił pełen kompleksów freudowskich stosunek dwunastoletniego chłopca do matki, którą adoruje. W tym roku Moravia wydał swą trzecią powieść pt. „La Romana", przedstawiającą życie współczesnej Rzymianki, którą ubóstwo, piękność oraz pomoc matki czyni prostytutką, — po przeżytym zawodzie miłosnym, gdy dowiedziała się, że jej narzeczony, szofer z zawodu, ma gdzieś na prowincji żonę i dziecko. Akcja powieści jest oczywiście bardziej skomplikowana. Walory Moravii jako powieściopisarza polegają zresztą nie tyle na jakości tematu, ile na doskonałym opisie, który nie pozwala czytelnikowi oderwać się od książki.

Moravia jest zdania, że najistotniejszym sprawdzianem jakości pisarza jest pokupność jego książki. W Rzymie żartowano, że w czasie wakacji na Capri chodził co dzień do księgarni, by dowiedzieć się, ile egzemplarzy jego książki sprzedano w ciągu ostatniego dnia.

Gdy przyjechał do Rzymu Jan Brzechwa, pojechaliśmy kiedyś wraz z Moravią i Ksawerym Pruszyńskim na plażę do Fregone. Przy śniadaniu w cieniu pinii Moravia, bardziej interesujący się powieścią niż poezją, zadał Brzechwie konkretne pytanie: ile książek pan w życiu wydał. Brzechwa spokojnie wychylił pół szklanki chianti, widać było, jak coś obliczał w myśli i odpowiedział: trzydzieści tysięcy. Zarówno twórczość Brzechwy jak i czytelnictwo polskie zaimponowały Moravii.

Po długich sporach i dyskusjach nagrodę Viareggio przyznano nie „Romanie", ale „Listom z więzienia" („Lettere del carcere") Antonia Gramsci, autora zmarłego przed dziesięciu laty. Gramsci był jednym z najwybitniejszych komunistów włoskich, sekretarzem partii, posłem do parlamentu, intelektualistą. Wtrącony przez faszyzm do więzienia, skazany na lat dwadzieścia, cztery miesiące i pięć dni, spędził w nim dziesięć lat, stracił zdrowie i choć wskutek interwencji intelektualistów z Romain Rollandem i arcybiskupem Canterbury na czele, przeniesiono go do kliniki w Formia a później w Rzymie, zmarł w trzy dni po wyjściu z więzienia.

Przyznanie nagrody było nie tyle uwieńczeniem samego autora co pozgonnym oddaniem hołdu idei, manifestacją prolewicową pisarzy, uczestniczących w jury. Listy Gramsciego robią na czytelniku wrażenie przez swoje opanowanie i spokój. Gramsci nie załamuje się, nie popada w melancholię, przeciwnie, — pracuje naukowo (nad historią intelektualistów włoskich), wiele czyta, zna się na sprawach ekonomicznych, filozoficznych i historycznych.

Wzruszające są listy Gramsciego do rodziny, żony i synów (młodszego nigdy nie ujrzał), pełne ciepła i miłości rodzinnej, tak właściwej narodowi włoskiemu. Władze faszystowskie proponują Gramsciemu ukorzenie się, podpisanie prośby o darowanie winy — ocali to jego życie, zagrożone chorobą. Gramsci odpowiada: „Takie podanie, to śmierć moralna — nie chcę popełnić samobójstwa moralnego, lepsza już śmierć fizyczna".

„SZEŚĆDZIESIĄT KOBIET"

Do lepszych książek 1947 roku zaliczyć należy zbiór opowieści Paolo Monelli pod powyższym tytułem. Autor jest jednym z wybitniejszych współczesnych publicystów włoskich. Zna dość dobrze Polskę i Niemcy i interesuje się ich sprawami. W Berlinie spędził dobrych kilka lat przed rokiem 1930, czego wynikiem była książka „Ja i Niemcy".

Gdy miałem po raz pierwszy spotkać Monelliego, wziąłem w bibliotece ambasady tę wydaną przed blisko dwudziestu laty książkę, by rzucić okiem choć na ostatnie jej strony. Jakże przyjemnie się zdziwiłem, gdy przeczytałem takie mniej więcej zdanie: „W Niemczech prawdopodobnie dojdzie do odrodzenia cesarstwa, ale nie pod przewodnictwem Hohenzollernów, lecz mało znanego jeszcze niejakiego Adolfa Hitlera". Usposobiło mnie to przychylnie do inteligencji autora.

Monelli był w Polsce kilka razy, po raz pierwszy przed ćwierć wiekiem, w czasie pierwszej młodości, ma w Polsce przyjaciół, nic też dziwnego, że dla Polski ma wiele sentymentu. Ostatni raz odwiedził Polskę w r. 1946 z wycieczką dziennikarzy włoskich. Zainteresowania Polską znajdują wyraz również we wspomnianym zbiorze opowiadań. Bohaterką jednej z tych opowieści jest Polka „ze znanej arystokratycznej rodziny", panna Gomółka. Najlepsza jest ostatnia opowieść pt. „Sześćdziesiąt kobiet".

Inny publicysta włoski Lamberti Sorrentino wydał zbiór reportaży z frontu wschodniego w ostatniej wojnie pt. „Isba e steppa". Autor był włoskim korespondentem wojennym. Na froncie ukraińskim zdał sobie sprawę z dwu rzeczy: okrucieństw niemieckich, oraz potęgi militarnej Związku Radzieckiego Ciano notuje w swych pamiętnikach, że na wiosnę 1942 roku spotkał Sorrentina, który wróciwszy z frontu w tym okresie zwycięstw niemieckich przewidywał już klęskę niemiecką na wschodzie. Jeden z rozdziałów poświęca autor rozmowie, jaką odbył w czasie okupacji w Warszawie z Franciszkiem Radziwiłłem. Przyjął on Sorrentina, wówczas występującego w mundurze zwycięskiej armii osi, wyrazami współczucia. „My Polacy jesteśmy bardzo nieszczęśliwi — powiedział mu Radziwiłł, bo jesteśmy ofiarami zbrodni. Ale wam Włochom współczuję, bo jesteście współuczestnikami zbrodni, a to jest o ileż straszniejsze". Radziwiłł otworzył mi wtedy oczy, — pisze Sorrentino, iż lepiej będzie dla nas Włochów, abyśmy przegrali tę wojnę, bo zwycięstwo Niemiec byłoby czymś zbyt potwornym dla świata.

Wreszcie jedną jeszcze książkę można polecić czytelnikom zainteresowanym powojennymi Włochami, mianowicie zbiór monograficznych opracowań poświęconych poszczególnym zagadnieniom socjalnym i kulturalnym powojennych Włoch pt. „Po powodzi" (Dopo il diluvio). Moravia przedstawił tu problematykę współczesnej włoskiej burżuazji, Levi omówił zagadnienie miasta włoskiego, Piovene — kościoła, inni autorzy zajęli się teatrem, muzyką, kinem itd. Włochy pofaszystowskie i powojenne, kraj setki partii politycznych od wskrzeszonych faszystów do anarchistów, kraj pięciu tysięcy pism, jest tak pełen skomplikowanych problemów socjalnych i kulturalnych, że książka ta może być zaledwie wstępem do ich poznania.

Mieczysław Pruszyński

W poprzednim 5 (166) numerze „Odrodzenia" z dnia 1 lutego 1948 r.: **Edmund Osmańczyk:** Jasno i otwarcie o sprawie niemieckiej. — Dobre przedstawienie w Teatrze Polskim. — **Wacław Bielecki:** Śladami partyzantów. — **Mieczysław Jastrun:** Tułactwo. — Lesław M. Bartelski: Wracając do Warszawy 4 lutego 1945 r. — **Janina Preger:** Wydawnictwa dla młodzieży. — **Ksawery Pruszyński:** Prus i inni. — **Mariusz Margal:** Baraki są wszędzie takie same. — Czego chcą pisarze jugosłowiańscy. — **Maria Rzeuska:** Ognisko dyskusji o stylu i stylistyce. — **Jan Reychman:** „Przez 10 wojen" Koźniewskiego. — **Helena Teigova:** Wieczory chopinowskie w Pradze. — **Jerzy Andrzejewski:** Kartki z dziennika lektury: „Syzyfowe prace". — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny: O patetycznym kłamcy i XVI koncercie symfonicznym. — **Kazimierz Koźniewski:** Rozpoczął Paukszta. — Kącik członków Klubu Literackiego „Odrodzenia". — **Gabriel Karski:** Z galerii zasłużonych. — **Zygmunt Fijas:** Osobliwości Kudowy. — Camera obscura. — 10 ilustracji. — 8 stron.

Nowości „Przełomu" w styczniu

T. Dołęga Mostowicz — „Pamiętnik Pani Hanki" Powieść. Cena 600 zł. Nieznana książka najpoczytniejszego pisarza w Polsce.

Jalu Kurek „Młodości Śpiewaj" Powieść. Cena 600 zł. Cały nakład tej książki został przez okupanta zniszczony.

Jest to najlepsza książka autora: „Grypa szaleje w naprawie", „Woda wyżej".

REWELACYJNA NOWOŚĆ!
Dr Wł. Milata i Dr W. Walczak: „Globus uproszczony" z kartonu cena 120 zł.
Dotychczas koszt globusu wynosił parę tysięcy złotych, obecnie każdy może nabyć globus za 120 zł

WYDAWNICTWO „PRZEŁOM"
Kraków, ul. Karmelicka Nr 6
Do nabycia we wszystkich księgarniach

ANNA KOWALSKA

BIGAMISTA

Obok na krzesłach drzemali nad pustymi filiżankami chłopi ze związanymi w bukiet za nogi indykami, zapłakana, chuda kobieta z dzieckiem na ręku i młode małżeństwo przytulone do siebie. Pogasły światła nad sklepikami, najwytrwalsi kupcy pownosili kosze z owocami i zieleniną, ale wciąż jeszcze zapach owoców mieszał się z zapachem ryb i mokrego drzewa. Minęła północ i niewielu tylko bywalców tłukło w kawiarni pionkami w „tawli". Z daleka niósł się głos podobny do beczenia owiec, drżący, monotonny, skarżący się żałośnie, jakby ktoś postanowił zamartwić się na śmierć.

Czarnozielone morze falowało przy brzegu, a dalej za portem leżało gładkie, błyszcząc złotą łuską księżycowego światła, zlewając się na horyzoncie w świetliste strugi. Ogromny spokój leżał nad światem nocnym i zdawało się, że od wieków nikt tu nie bywał nieszczęśliwy. Uścisnęliśmy się za ręce, aby jakoś wyrazić to, że noc piękna i że nam dobrze.

Zbudziły nas krzyki przewoźników i stuk dziobów łodzi o kamienne schodki przystani.

— Na Andros! Kto jedzie na Andros?! Prędko!

Młode małżeństwo wstało niechętnie, jakby ławka pod murem restauracji była im przytulnym domem, kobieta z dzieckiem lamentowała szukając zawiniątka, chłopi w milczeniu pchali się pierwsi do łodzi, torowali sobie drogę potrząsając rozgniewanymi indykami. Odjechali, chwilowe ożywienie w porcie opadło, z rzadka tylko słychać było lekkie kroki przechodniów po kamiennych płytach molo.

Zerwał się wiatr lekki i ciepły. Długa płócienna zasłona przed restauracją, nie ściągnięta wieczorem, trzaskała chlupotliwie.

Przy sąsiednim stoliku usiadł marynarz, w grubym wełnianym swetrze, czysto wymyty i ostrzyżony. Przystojny był, raczej włoskiej niż greckiej urody, ale w tej chwili posępny i odęty wyglądał na człowieka niezadowolonego z siebie i ze świata. Zażądał pełnej kolacji i nie chciał dać się przekonać, że za późna pora i że kucharz poszedł spać. Zaczynał jeść zupę, kiedy zza oleandrów stojących na chodniku wyszła dziewczyna w wypełzłej sukni jedwabnej i w za dużych sandałach na nogach. Przystanęła i pozdrowiła marynarza.

Dziewczyna była drobna, zgrabna i dziwnie zwinna. Gęste czarne włosy piętrzyły się nad czołem jak kask. Nosek miała prosty, oczy ogromne, wilgotne, migotliwe, tylko usta ciężkie i zmęczone.

Gdyby nie zbyt mocno uczernione rzęsy i jaskrawa szminka, nawet w tych spełzłych jedwabiach wyglądałaby szlachetnie.

— Smutny jesteś? — zapytała marynarza głosem, jakim się przemawia do dzieci, i usiadła nawet nie poruszywszy krzesła.

— Napijemy się? — odpowiedział pytaniem na pytanie i zażądał rezinato, ale dziewczyna nie tyle chciała pić co jeść. Za chwilę ze smakiem spożyła zupę rybną, na którą kucharz musiał chyba zaczerpnąć wody wprost z doków, bo czuć ją było smołą.

Zapytała o coś cichym głosem. Marynarz podniósł głowę i przechylił wstecz na znak przeczenia.

— Nie, ale kapitan mnie sklął. Przy wyładowywaniu beczka się rozsypała, tak jakby to moja była wina, że beczka zgniła.

— Dureń kapitan, powinien być zadowolony, że ma takiego przystojnego marynarza jak ty!

— Chcesz jeszcze baraniny?

Przytaknęła opuszczając brodę.

— Wysoki jesteś!

— Metr osiemdziesiąt pięć.

— A kapitan pewnie mały?

— O, dotąd — pokazał swój łokieć i roześmiał się.

— Widzisz, zgadłam. Niscy mężczyźni strasznie są zazdrośni o wysokich, a zwłaszcza marynarze albo wojskowi. Z zazdrości urządził ci awanturę. Tu, na Syros jest garnizon... — zaczęła, i umilkła pomyślawszy pewnie, że lepiej za wiele o garnizonie nie wspominać.

— Przyjemnie się z tobą rozmawia — zastanawiał się ze zdziwieniem, a ona ostrożnie gryzła migdałowe ciastko i delikatnie popijała winem z Samos.

— Nie przeszkadza ci, że mi chrupie w zawiasach, gdy jem?

— Skądże, to dodaje apetytu.

— Delikatny jesteś. Mieszkam z jedną robotnicą o tam, na samej górze — wskazała śliczną wąską rączką migocące wysoko okienka białych domów wstępujących po dwu wzgórzach. — Prześladuje mnie, że przy jedzeniu szczęki mi chrzęszczą. Tak jakby to była moja wina. Gdybym była tłuściejsza, pewnie by nie chrzęściły.

— A po co mieszkasz z tą niedobrą dziewczyną?

— Po co się wszystko robi?! Żeby wyżyć. Tak jest taniej. Obie pracujemy w fabryce lukumi, ona przy kotłach, ja w paczkarni. Tylko śniadanie jemy razem.

Z zaułka wyszedł niespodzianie chłopak z koszem świeżo ściętych białych kwiatów. Nigdy, ani przedtem, ani potem nie widziałam podobnych, ich gorzki delikatny zapach nawiedza mnie nieraz jak dziwny sen. Marynarz kupił dziewczynie gałązkę i położył jej na dłoni.

— Szlachetny jesteś, odwykłam od tego — zasmuciła się. — Gdy byłam mała, ojciec mnie ubóstwiał. Matka umarła przy moim urodzeniu, miał mnie jedną. Był nauczycielem. Wiesz, jestem wygnanką, spod Smyrny. Turcy go zabili. Ach, jak ich nienawidzę — powiedziała ze ściśniętymi zębami, które błysnęły jak nóż.

— O Grecjo! — jęknął marynarz i przymknął oczy z bólu. — Mikrula, nie masz tu nikogo z rodziny?

Machnęła ręką.

— Babka i ciotka. Sama nędza. Ale co się stało, to się nie odstanie. Dobrze mi, że spotkałam kogoś takiego jak ty... Choć na jeden wieczór.

Była już trzecia rano, kiedy jakiś przewoźnik krzyknął, że w porcie czeka statek jadący na Samos.

Z łódki patrzyłam na dziewczynę stojącą na samym brzeżku mola, żegnała ręką marynarza, który wsiadł razem z nami.

Płynęliśmy długo a statku wciąż nie było widać, wreszcie niespodzianie znaleźliśmy się przy nim. Z lękiem wdrapywałam się po drabince, w której brakowało połowy przęseł. Statek był stary, skołatany i dziwnie pusty.

Rano obudziło nas morze huczące i ciemne. Okienko kajuty raz po raz mroczniało, zalane wodą. Statek kładł się na boki, coś jęczało w nim, zgrzytało i dzwoniło, to znów podnosił się i rzucał jak konający w malignie. W kabinie zatęchłej i wilgotnej leżał uporczywy przykry odór. Skropiłam chusteczkę wodą kolońską i ułożyłam na twarzy, ale i to niewiele pomagało. Na domiar złego w kajucie zaczęły latać owady podobne do karakonów, uderzały o ściany, szeleściły nieprzyjemnie, zaplątywały się we włosy.

Próbowaliśmy wyjść na pokład, ale ledwo otwarliśmy drzwi, obryzgała nas woda i zadławił wicher. Znaleźliśmy przytułek w restauracji, źle oświetlonej i zatęchłej, jednak przestrzenniejszej. Rozłożyliśmy się z książkami, ale czytanie szło niesporo, jedyną pociechą były filiżaneczki kawy i wielkie kieliszki rumu.

Byliśmy jedynymi pasażerami, co nie było przyjemne. Ludzie z obsługi statku chodzili jacyś brudni i posępni. Kapitan, krępy o małym, perkatym nosku i szczeciniastej twarzy, przez cały dzień mijał nas w milczeniu, ale wieczorem rozgadał się. Kiedy minęła pora, o której mieliśmy przybić do Samos, a wciąż znajdowaliśmy się na morzu, zagadnęłam go, kiedy wreszcie zajedziemy.

— Pani myśli, że to nie wszystko jedno, kiedy się dojedzie? Wszędzie dopadnie człowieka jego dola, bo przed swą naturą się nie ucieknie. Rozrzutny wyda, a skąpy zaoszczędzi: ja wierzę w przeznaczenie.

Zapalił fajkę i pochyliwszy się nad stołem ułożył z zapałek gwiazdę.

— Jak się jest młodym, to się nic nie wie. Ot, miałem w Pireusie żonę i córkę. Żona pochodziła z bogatej kupieckiej rodziny, uczona była i delikatna. Nie chcieli mi jej dać, bo jestem z chłopów, no i kapitan, to nie wielka opieka dla żony, nigdy go w domu nie ma. Ale bardzośmy się kochali i jakoś się ułożyło. Myślałem, ot, los ci się trafił. Bo w młodości człowiek nie może pojąć tej prostej prawdy, że to, co jest dzisiaj, tego nie będzie jutro. A tu, nie minęło pięć lat, a żona zaczęła tyć. Już nie grała na fortepianie, nie czytała francuskich romansów, nie haftowała. Biegała cały czas po lekarzach i po popach. Leczyła się i modliła na zmianę.

Ledwo stanąłem w progu postękiwała: „Dziś, Bazyli, kłuje mnie w boku, i gorzko mi w ustach". Od razu traciłem humor. To mnie robiło się gorzko w ustach, jakbym się wody morskiej napił.

Wiecie, jakie życie na naszych statkach, półtora dnia do dwu dni rejs, dzień w porcie, wyładowywanie, ładowanie. Siedemdziesiąt razy w ciągu roku byłem w Pireusie, siedemdziesiąt razy w Kandii. Oczywiście, nie za każdym postojem mogłem bawić w mieście, ale zawsze dosyć często. Dla mnie stało się to z czasem zbyt często. Tłumaczyłem żonie, że więcej mam towaru do ładowania, ale żona potrafiła i na statek przychodzić z jękami i stękaniem. Przedtem to nawet nie wiedziałem, że tyle w człowieku gruczołów, nerwów i innego paskudztwa. Mnie w życiu nigdy nawet głowa nie zabolała, ani ząb, to i nie mogłem z ochotą wdawać się w jej choroby.

Kapitan zburzył gwiazdę z zapałek i układał je w nowy wzór.

— W Kandii poznałem dziewczynę, nazywała się jak moja żona, Sofija, ale zresztą nic a nic nie była do niej podobna, szczuplutka, czyściutka i zdrowa jak rybka. Ojciec jej był aptekarzem, matki nie miała. Lubiła tańczyć, śmiała się łatwo i z wszystkiego była zadowolona — zamilkł i przytknął zapałkę. Zgrzeszyłem i wziąłem z nią ślub. Jakby mi kto był powiedział, że będę bigamistą, byłbym go zakrzyczał, bo to coś jak morderca, złodziej, a ja czułem się szczęśliwy, a co dziwniejsze... niewinny. Miałem teraz dwie żony, dwa domy. I nie wiem, czy dlatego, że byłem z moją małą Sofijką szczęśliwy, ale wtedy, kiedy zaglądałem do mojej grubej Sofiji w Pireusie, to mnie nie drażniła. Sam się wypytywałem, gdzie ją kłuje, czego zażywa i na jakim była nabożeństwie. Córeczka także już nie stroniła ode mnie, chociaż nadal mizerna była i płaksiwa.

Przez parę lat uważałem siebie za najmądrzejszego, najchytrzejszego człowieka w Grecji. Nikomu krzywdy nie zrobiłem, a mnie się szczęściło. A oto pokazało się, że byłem lekkomyślnym durniem. Moja Sofijka z Kandii, dotąd wesolutka i śmieszka posępnieje i zaczyna tyć a tyć. Zamiast ślicznych różowych szlafroczków z koronkami wkłada czarne suknie z oberwanymi guzikami. Pożółkła, poszarzała, włosy zwisały jej jak Cygance. Córeczka, bo także z nią miałem córeczkę, grymasi i czarne to, jakby nigdy chleba nie widziało. Sofijka okłada się gorącymi flaszkami, pije jakieś ziółka — mdliło mnie od ich zapachu gdy wchodziłem do pokoju — do ust nie chce wziąć ani wina ani kawy. Wreszcie zaczyna biegać ze świeczkami do cudownych obrazów. Ja wiem, że kobiety mają skłonność do pobożności, nawet to mi się podoba, bowiem jakoś jest w harmonii z ich dziwacznością, gdyż kobiety są dziwne, nawet te najzwyklejsze, jak przyjdzie na nie chwila, mają w sobie coś z wiedźmy. Księżyc nimi rządzi, a to nieczysta gwiazda. Dużo starałem się rozumieć, ale kiedy żona wzbraniała mi wejść do swego pokoju, dlatego, że się ubierała, to już czułem, że źle z nami będzie. Przecie ładna już wtedy nie była, i nie z ciekawości — jak to dawniej bywało — wchodziłem, ale człowiek u siebie lubi się czuć w domu. Mnie te fochy obrażały. Ale zamiast się martwić, ze złą radością obserwowałem, chociaż przecież działo się to na moją szkodę, jak Sofijka z Kandii zaczęła się robić podobna do mojej starej Sofiji z Pireusu. Mieć jedną chorą, grubą i pobożną żonę nie łatwo, ale dwie?! To może obrzydzić człowiekowi grzech. Zdawało mi się, że ktoś ze mnie zakpił. Teraz wiem, że los lubi płatać takie figle, ale na mnie to tak podziałało, że gdybym był wiedział jak to zrobić, to jak nie jestem pobożny, byłbym wstąpił do klasztoru. Ale gdzie mi tam do klasztoru z dwiema żonami! Jakiś czas się męczyłem, nie wysiadałem ani w Pireusie ani w Kandii, a gdy poróżniłem się z towarzystwem okrętowym, skorzystałem ze sposobności i przeniosłem się na inną linię, między Syros a Samos. Statek gorszy, nie lubię go, a to przykra rzecz dla kapitana nie lubić statku, ale mam przynajmniej spokój. Posyłam obu żonom pieniądze, niech się tam modlą, leczą i tyją, ale beze mnie.

Wysypał popiół z fajki, wyczyścił ją i powkładał zapałki do pudełka. Napiliśmy się jeszcze po kieliszku rumu i pożegnał nas nagle zniechęcony, jak człowiek, który za dużo powiedział. Statek był rzeczywiście podły, chyba najgorszy na całym morzu Egejskim, dopiero następnego dnia wieczorem zsiedliśmy na łódkę w porcie Vathy na Samos. Gdy się patrzy na mapę, wierzyć się nie chce, że tyle czasu człowiek strawił na tak małej przestrzeni.

— Nigdy więcej taką beczką nie pojadę — odgrażałam się, kiedy łóżko w pokoju hotelowym wirowało i tańczyło, jakbym wciąż jeszcze płynęła po niespokojnym morzu.

Okna i balkon wychodziły zresztą wprost na zatokę i były wypełnione wizją białego żaglowca z najwspanialszą dekoracją z lin, jaką sobie fotograf może wymarzyć. Jak kłębowiska żmij wiły się liny po pokładzie, to znów jak liany zwisały z masztu.

Kilka razy na dzień pojawiał się czarnowłosy drab, zasiadał na stołku z miską pomidorów i flaszką wina, coś mówił do siebie czy do ryb, gdy przechylony przez burtę rzucał w wodę kawałki chleba czy wypluwał pomidory.

Szczęśliwe dni, pełne radości, jak winne jagody soku, rozświetlone jasnością słońca i morza, jakże lekko mijały, jakbyśmy i my byli utkani na pół z powietrza.

Owoce kupowaliśmy w za wielkich ilościach, bo takie były piękne, tak samo z pól w Tigani przywiozłam ciężką marmurową rozetę rozwijającą się delikatnie w kamieniu jak anemon na łące wiosennej, z którą nie wiadomo było potem co począć.

Kilkadziesiąt fotografii mozaik, baszt, murów i wodociągów zrobionych między Vathy i Tigani powiększyło nasze zbiory. Najpiękniej jednak wypadła fotografia olbrzymiego krzaku ostu rozrośniętego do rozmiarów wprost niewiarygodnych; piękność kulistych kwiatów i ostrych pierzastych liści zastanawiała, jakby to nie był twór przyrody, ale ocalałe dzieło Rhoicosa czy Theodorosa. Wysoki mur wydawał się mały przy tym krzaku.

W miesiąc później wracaliśmy z Samos przy pogodzie tak pięknej, że morze mlecznoniebieskie wyglądało jak sadzawka dla dzieci. Nasz kapitan bigamista zeszczuplał i połyskiwał niepokalaną bielą munduru, ogolony i pachnący.

Trochę zmieszał się, gdyśmy się z nim witali i długi czas nie wychodził ze swej kabiny, ale na małym statku trudno się długo ukrywać, zwłaszcza, że w kabinach przy takiej pogodzie duszno.

Raczyliśmy się koniakiem z Samos i spierali, czy lepsze jest wino ze składów Missina, Mainettiego czy Sophulisa, rozmawialiśmy także o Angliku, którego Turcy zastrzelili, gdy płynął cieśniną między Samos Boghaz a Mykale. Kapitan tym razem ział nienawiścią do Turków i pełen był wspomnień o ostatniej wojnie tureckiej.

— Francuzi i Anglicy wciągnęli nas do wojny z Turcją a następnie ręce umyli.

Zamyślił się a potem podniósł oczy ku zmętniałemu lustru i bacznie się sobie przypatrzył.

— Mógłbym to przed wami ukryć, ale powiem. Spotkałem na Syros dziewczynę, szczupłą jak trzcina, zuchwałą i prawie niepobożną.

— I ożenił się pan? — zaśmiałam się.

— Jeszcze nie — odpowiedział niewesołym śmiechem. — Choć czasem mi się zdaje, że nie umiem żyć z kobietą inaczej jak w małżeństwie. Ale jej nie zależy na ślubie, na domu, no i może na mnie jej nie zależy. Dziwna dziewczyna, nie spotkałem dotąd takiej. Mógłbym z nią bez końca rozmawiać. Niechby się już i roztyła i biegała po doktorach i stawiała przed ołtarzami świeczki, byle tylko na mnie czekała. — Obciągnął na sobie marynarkę. — Chciałbym, żeby ją pani zobaczyła, może przyjdzie na statek w Syros, prosiłem ją o to. Dziwna dziewczyna. Musiałem przez nią wyrzucić jednego chłopaka z załogi.

Nie powiedziałam mu, że wiem, jak dziewczyna wygląda. Biedny kapitan mniemał, że tyle wie o losie i przeznaczeniu, nie przewidział tylko, że może się nieszczęśliwie zakochać w portowej dziewczynie.

Anna Kowalska

EWA FISZER

ŚWIADOMOŚĆ

Przez dom, który nie wyrósł z pracy,
I lipę, która pachniała pod oknem,
Przez cztery zmięte fotografie,
Które wyniosłam z wojny,
I przez błoto w wojennych pantoflach,
I skok oknem, w pociąg, na głowy
Ludziom, którzy wieźli kartofle,
Gdy ja tylko „list polecony",
I przez chleb, którym się podzielił kolejarz,
Przez pr[illegible]enie, aby p[illegible] upadł dalej,
Przez najbliższe słowo „kolego",
Zaduch strachu w zasypanym szpitalu,
Przez noclegi po dworcach zmarźniętych,
Krew z krwotoku, czerwieńszą i nudną,
Przez trzynastu kolegów zamkniętych,
Pięćset złotych za wiersz Eluarda,
„Zakręt śmierci" w Ziemiach Odzyskanych,
Przez „Kuźnicę", dzień, noc, zapach siana
Jestem zamknięta. Jestem wynikiem wydarzeń.
Ja. Zamknięta we własnej twarzy.

WIKTOR WOROSZYLSKI

KSIĘGARZ

Wyrazy sprzedaję wyrazy wojna nienawiść faszyzm
książki o życiu sprzedaję jeszcze ich czas nie rozciął
zaledwie pierwsza godzina z północy wychyla twarz
obmywam ją dla klientów niezdrową ciekawością

w antykwariacie moim wszystkie są rekwizyty
nawet ropuchy siwej i sów ociemniałych nie brak
wśród pergaminów stęchłych wywodzą requiem Zyty
rozpłomienia traktat Newtona rewolucyjna febra

wyrazy sprzedaję wyrazy mieszam niby Lucyfer
wypuszczam papierowe śmiercią ładowne eskadry
nazwy geograficzne mnożę przez szereg cyfr
szpilkami przebijam globus w punktach Ateny i Madryt

fregata wisząca nad drzwiami kładzie na ost-sud ster
bosman chciał cofnąć lecz wnet białą flagą zwisło mu ramię
więc śmieję się cicho i znów zasiadam do buchalterii
gdzie jak komety jedynki ciągną ogony z zerami

w ustach mam wieżę Babel fruwają cegiełki słów
na półkach Adama Smitha dogorywa jedyny mit
wyrazy sprzedaję wyrazy proste jak łamigłówki
JA KSIĘGARZ HANDLUJĄCY DYNAMITEM

Z BELETRYSTYKI ROSYJSKIEJ

Michał Priszwin. Korzeń życia i inne opowiadania. Przekład **A. Stawara** i **P. Hertza.** Warszawa, „Czytelnik", 1947; str. 268 i 2 nl. — **Wiera Panowa.** Towarzysze podróży. Przełożył **Józef Brodzki.** (Warszawa), „Książka", (1947); str. 220 i 4 nl. — **F. Gładkow.** Testament ojcowski. Łódź — Wrocław, Wydawnictwo Władysława Bąka, 1947; str. 282 i 14 nl.

„Korzeń życia", książka składająca się z cyklu opowieści, notatek poetyckich i poematu w prozie, zaznajamia nas z twórczością bardzo odrębną i godną uwagi. Tom zawiera wybór utworów autora, piszącego od r. 1905, zarówno z okresu sprzed 1914 r., jak i z lat porewolucyjnych. Wstępna nota od wydawnictwa podaje ogólne informacje o pisarzu, agronomie z wykształcenia, podróżniku i poecie z zawodu.

W opowieściach Priszwina, które stanowią specjalną, stworzoną przez autora formę literacką, najbardziej charakterystyczny jest ich ton epicki. Przedmiotowy stosunek do przyrody, opierający się na bliskiej jej znajomości, wyłączenie romantycznego szablonu poetyzowania jeśli idzie o naturę, postawa poznawcza z odrobiną nieprzesadnego humoru — to wszystko cechuje styl tych krótkich, nieprzeciętnych opowiadań. Te właściwości stylu łączą się jednak ze świadomie poetyckim owartościowaniem świata przyrodniczego i pewnym mistycyzmem (tytułowe opowiadanie „Żeń-Szeń"). Poeta z braterską surowością traktuje przyrodę. Czerpie z niej siłę ignorowania „wiecznie ludzkiego" niezadowolenia, sentymentalnego niedosytu. W pauzach namysłu i refleksji autor zdaje się wykorzystywać stworzony przez siebie szerszy zakres czasu i przestrzeni, niż ten, który spotykamy w literaturze, ogniczającej się do świata psychosocjalnego. Refleksja ta ukazuje człowiekowi jego miejsce w przestronnym świecie i ocenia je pozytywnie: „Myślałem o tym, jak doskonale urządzono, że życie każdego z nas nie trwa zbyt długo, i że nie dąży się do tego, by samemu posiąść wszystko bez reszty — dlatego każdemu z nas świat wydaje się nieskończony w swojej rozmaitości".

Tematycznie przeważają opowiadania myśliwskie i podróżnicze. Egzotyka polega jednak nie na etnograficznym zakresie, lecz na ujęciu. Historia o zaginionym psie („Służba Pana") jest psychologicznie tak samo egzotyczna, jak relacja z wędrówki i pobytu u króla stepów kirgiskich. Postawa uszanowania obcej psychiki, człowieka lub zwierzęcia, z którą wypada blisko współżyć, a do której w istocie nie można się zbliżyć — stwarza owo zabarwienie egzotyczne i przedmiotowe i nadaje szczególną świeżość tej psychologii.

Proza Priszwina nie jest pokrewna muzycznemu liryzmowi opowieści myśliwskich Turgeniewa — bliższa może drugiego krańca: prymitywnej rzeczowości amerykańskich powieści przyrodniczych, a jeszcze bardziej nowel Breta Harte.

Ale jest to klasa odrębna. Od tamtych wyróżnia ją zasadnicza cecha kompozycyjna: z realizmem w parze idzie świadomość fikcji formy literackiej. Z tego wynika efekt wstępnego opowiadania „Słone jezioro", zakończonego zabawnym „koziołkiem" groteski, następnie lekceważąca kanony i szablony krótkość opowiadań i notatek (np. uznanie za temat noweli godzinki, spędzonej z kwiatem, lub wieczoru z jeżem).

Jak zwykle w opowiadaniach myśliwskich, występują trzy momenty: nieuświadomione okrucieństwo (w niemoralnym połączeniu z miłością do zwierząt — wada, której nie uniknęli dotychczas najlepsi pisarze z tej dziedziny), poczucie wielkości świata — i mistyka witalna (wkradająca się bałamutnym liryzmem, legendą i ludowością, skłonnością mitotwórczą — „Żeń-Szeń").

I zalety i wady tego pisarstwa nie są przeciętne. Książka należy do arcydzieł literatury. Oryginalna ta epika jest odciążona od psychologizmu, a w szerszym świecie, w którym się obraca, wykazuje znajomość rzeczy i spokój opanowania swego przedmiotu — ten pozór mądrości.

Trudno należycie ocenić zasługi przekładu, nie mając możności porównania z oryginałem. Przypuszczać należy, że nasuwał on niejedną trudność — nie wie o tym jednak czytelnik polski, który otrzymuje tekst poetycki, pisany czystym i mocnym językiem.

Wydanie tej książki wypełnia lukę w naszej znajomości najważniejszych pozycyj literatury rosyjskiej.

* * *

Powieść Panowej opowiada bez patosu a z sentymentem dzieje grupy ludzi, którzy stanowili załogę pociągu sanitarnego w czasie ostatniej wojny. Tło wojenne nie występuje na pierwszy plan. Na pierwszym planie pozostaje historia życie ludzkiego, które się powiodło albo nie powiodło, historia szczęścia, kóre się udało otrzymać, lub którego się nie udało zachować. W opowieści Panowej najczęściej się nie udało. Złowieszczą rolę w tych drobnych historiach indywidualnego ludzkiego szczęścia odgrywa wojna. To ona zabija ukochaną żonę i córkę starego lekarza, ona młodziutkiej Lenie zabiera miłość męża, który złączył swoje losy z inną. Od takiej, bardzo przystępnej strony mówią swoją prawdę o przeżyciu tej wojny przez sowieckich ludzi skromne opowiadania Panowej, dobrze skomponowane w ciekawą powieść. Mówią one przeważnie o ludziach, którzy żyją, i żyją dobrze, mimo że ominęło ich lub stracili osobiste szczęście.

Autorka potrafiła dać swemu obrazowi wiele przekonywającej prawdy, zwracając uwagę na bardzo zwyczajne historie sentymentalne przeciętnych ludzi, ukazując ich usiłowania i dążenia do zdobycia ludzkiego, indywidualnego szczęścia, które tak często kończą się niepowodzeniem. W tym świetle rzadziej ukazywano nam sowieckiego człowieka — i jest to niewątpliwą zaletą książki, gdyż łączy się z osiągnięciem prawdy psychologicznej. Widzimy, że życie tych, którzy potrafią zwycięsko spełnić największy obowiązek — nie zawsze jest zwycięstwem w sprawach osobistych. I że mimo to jest ono dobre i wartościowe. Jest pełne i niewygaszone, gdyż wola pracy, wola spełniania wyznaczonego zadania — czy to będzie w czasie próby wojny, czy w czasie nie mniej wymagającego pokoju — wypełnia to życie napięciem i daje ludziom świadomość wartości ich pracy. Daniłow, który nie znalazł miłości w małżeństwie, i Lena, która ją utraciła, biedna brzydka siostra Julia, która znalazła sobie tak lichy ideał w doktorze Suprugowie — ludzie przeciętni i ludzie wybitni — umieją żyć bez tego szczęścia, które tylko w bajkach jest nagrodą cnoty. Męstwo i dzielność, jakie mają w sobie, są dla nich trwalszym motorem życia, niż przypadek osobistego szczęścia lub zawodu.

Jest to dobra powieść „bez morału", którą czytelnik chętnie i z zajęciem przeczyta.

* * *

Powieść Gładkowa jest natomiast typową powieścią „z morałem". Dwa opowiadania, wydane w tym tomie — „Testament ojca" i „Przysięga" — mają za temat walkę o wygranie wojny na froncie przemysłowym. Patos wychowawczy i patos pracy — to dwa zasadnicze motywy tej książki. Pierwsza opowieść ukazuje wtajemniczenie chłopca wiejskiego w sztukę wysoko wykwalifikowanej pracy tokarza metalowego w fabryce broni. Jak wiadomo w czasie wojny dorastające dzieci musiały zajmować przy warsztatach odpowiedzialne miejsce swoich ojców, którzy poszli na front. Ten proces wychowania na dobrego fachowca-obrońcę ojczyzny jest zarazem procesem wychowania na człowieka. Tematem drugiej opowieści jest walka o ulepszenia w tej samej dziedzinie pracy. Od ulepszeń tych zależał w wielkiej mierze los frontu. Opowiadania te, pełne żaru wewnętrznego, przedstawiają ludzi niby zwyczajnych, w istocie jednak samych bohaterów. Może dlatego, że wszyscy bohaterowie są wyjątkowi, pisarstwo Gładkowa jest nieco schematyczne i oschłe. Bardzo niestaranny anonimowy przekład oddał złą przysługę autorowi.

Janina Pregerówna

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Przyczyny zastoju

W toku trwającej od szeregu miesięcy dyskusji w sprawie błędów i niedostatków naszej literatury powojennej zwrócono m. i. uwagę na fakt godny zastanowienia: że — mianowicie — wielu spośród pisarzy, którzy w czasach przedwojennych reprezentowali idee społecznego postępu, walki z uciskiem i protestu przeciwko ówczesnej rzeczywistości, ujawnia dziś aktywność znacznie zmniejszoną albo milczy, albo też przemawia głosem, nie harmonizującym z potrzebami i nadziejami ludu.

Innymi słowy, pisarze, którzy w epoce przedwrześniowej, nie bacząc na trudności, szykany i represje, kroczyli śmiało na czele rewolucyjnych i reformatorskich zastępów, dzisiaj, gdy chodzi już nie o walkę, protest, bunt i negację, ale o afirmację nowego bytu i współpracę w jego utrwaleniu, zwijają jak gdyby skrzydła i nie dotrzymują swą twórczością kroku nowym zadaniom literatury polskiej.

Obserwacje te są niewątpliwie trafne, a w zjawisku niepokojącego słabnięcia społecznej postawy twórczej upatrywać należy jedną z głównych przyczyn, że — jak to mówił Prezydent Bierut we Wrocławiu — nasza „twórczość artystyczna i kulturalna nie nadąża za szybkim i potężnym nurtem dzisiejszego życia". A przecież „naród — podkreślił Prezydent Bierut — ma prawo stawiać swoje wymagania twórcom, zaś jednym z podstawowych wymagań jest, by głębszy nurt utworu, jego cel, jego założenia odpowiadały potrzebom ogółu, by nie budziły zwątpienia, gdy potrzeba zapału i wiary w zwycięstwo, by nie apoteozowały depresji, gdy naród chce żyć i działać"...

Fakt ideologicznego maruderstwa i zobojętnienia niektórych pisarzy, przynależnych niewątpliwie do obozu postępu ma — rzecz jasna — swe przyczyny i uzasadnienia. Wydaje mi się, że — z grubsza biorąc — można ustalić trzy kategorie tych uzasadnień: pierwsza z nich ma charakter ogólny i obiektywny, dwie pozostałe mają źródło w pewnych specyficznych cechach naszej aktualności i związane są z dość znanymi właściwościami polskiej psychiki narodowej.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że krytyka i negacja, zarówno w ogólnym sensie czynności intelektualnej, jak w dziedzinie twórczości literackiej są zawsze czymś łatwiejszym i — bodajże — efektowniejszym, niż afirmacja i konstrukcja. „La critique est aisée"... mówią Francuzi. Krytykując przeciwnika, burząc jego pozycje, wybieramy zazwyczaj najsłabsze punkty obrony, walimy w nie jak w bęben i — przy użyciu odpowiedniej ilości intelektualnej amunicji — osiągamy skutek zamierzony. Inaczej rzecz się ma, gdy od burzenia trzeba przejść do konstrukcji, do umacniania tego, co powstaje na gruzach starych koncepcyj, przeżytych pojęć. Tutaj — wypada nie tylko udowodnić słuszność i zasadność nowobudowanego porządku, ale trzeba też jednocześnie obwarować należycie własne punkty słabsze osłonić je i zamaskować, w przewidywaniu ataków przeciwnika.

W jednej ze swoich satyr Leon Pasternak sformułował lapidarnie trudności współczesnej afirmacji literackiej:

„Wiesz, nie sztuka być dziś **anty**,
lecz sztuka właśnie jest być **pro**".

Ta „sztuka" — jak się zdaje — nie dla wszystkich jest dostępna, z jej trudnościami i komplikacjami nie każdy potrafi się uporać. I to jest z pewnością jedną z przyczyn, że ten i ów, choć bynajmniej nie czuje się „anty", nie zdradza ochoty i zdolności do twórczego zamanifestowania swojego „pro". Odwraca się więc od „zgiełku rzeczywistości", lekceważy lub nawet wyszydza „zamówienia społeczne" i czeka w bierności na jakąś boską pełnię takich warunków, w których nikt i nic nie będzie mącić spokoju pracy nad doskonaleniem autonomicznego literackiego rzemiosła.

Czynnikiem drugim, hamującym i paraliżującym twórczość pisarską, dostrojoną do poziomu czasów przełomowych, jest ujawniany w wielu wypadkach paniczny lęk przed ewentualnymi zarzutami polityczności i tendencyjności dzieła literackiego. W obawie, by nie być pomówionym o demokratyczną tromtadrację, tanie efekty propagandowe itp. przewiny, wyjaławia się nieraz — całkiem niepotrzebnie — to dzieło z wszelkiej jasnej i wyraźnej myśli społecznej, odbiera mu się sens ideologiczny, czyni się wszystko co możliwe, by nikt — nawet z mikroskopem w ręku — nie znalazł w tym dziele śladów „publicystyki". Bo, podobno, literatura i publicystyka — to dwie nie tylko odrębne, ale wręcz wrogie sobie dziedziny pisarstwa. Publicystyka, tendencja społeczna, określony wydźwięk ideologiczny — twierdzą niektórzy — to zagłada literatury „czystej", której cechą zasadniczą ma być hipnotyczne zapatrzenie się we własną „niezależną" doskonałość.

Gdy w związku z głośnym wystąpieniem w obronie Dreyfusa Emil Zola pociągnięty został przez reakcję francuską do odpowiedzialności sądowej, powiedział m. i. przed trybunałem: „Zacni ludzie sądzą, że postępują mądrze, oddzielając politykę od literatury. W ten sposób pomagają ludziom kłamstwa i niesprawiedliwości tryumfować i w literaturze i w polityce!"

Od czasu Zoli minęło półwiecze. Ale i dziś nie brak u nas „zacnych ludzi", którzy pragnęliby wykopać nieprzebytą przepaść pomiędzy literaturą a polityką, a jeśli dopuszczają w tej mierze jakieś wyjątki, to tylko wtedy, gdy literatura miałaby pójść w służbę polityki bardzo specyficznego gatunku. Ten sztucznie wytwarzany klimat rzekomej apolityczności literatury nie pozostaje częstokroć bez wpływu na pisarzy, dalekich od obozu „kłamstwa i niesprawiedliwości". Jednak sui generis terror psychiczny robi swoje i niejeden powściąga lub odkłada pióro, by nie być — broń Boże! — „zdegradowanym" w opinii do rangi politykującego literata.

Innym czynnikiem natury subiektywnej, powodującym nieraz odwracanie się tyłem do nakazów rzeczywistości historycznej, jest właściwa psychice polskiej — przekora wobec wszystkiego, co nie układa się w ramy potocznych, ogólnie przyjętych i powszechnie usankcjonowanych schematów. W żadnym chyba kraju świata nie ma tak wielu „zawodowych" oponentów i malkontentów, co w Polsce. Każdy z nas doskonale zna typ człowieka, dla którego opozycja i krytyka są rozkoszą intelektualną „same w sobie". Nie chodzi bynajmniej o rodzaj i cechy obiektu krytykowanego; wystarcza sama czynność dająca takiemu „zawodowcowi" perwersyjną wprost satysfakcję. Człowiek, owładnięty duchem przekory, krytykuje dziś zawzięcie to, co wczoraj jeszcze uważał za słuszne i godne respektu, jutro zaś gotów wymierzyć broń krytycyzmu przeciwko swym dzisiejszym ideałom. Dlaczego? Bo ma poczucie intelektualnej „wyższości", bo „nie chce płynąć z prądem", bo ceni nade wszystko „własne zdanie" i nie zamierza się godzić z „opinią większości".

Istnieje inny jeszcze rodzaj przekory, mniej na serio, bardziej filuterny i żartobliwy. Amator tego rodzaju przekory podchodzi do wszystkiego, co się wokół dzieje i staje, z przymrużonym znacząco okiem, ze słowami: „bujać to my"., „nie nas nabiją w butelkę" itd. Wszystko jest dlań „lipą" i „nawalanką", a jeśli nawet tych słów nie używa, w taki właśnie sposób myśli i czuje i według tego reguluje swój stosunek do otaczającego świata. Ta quasi-filuterna przekora czyni też nie małe szkody, mąci bowiem jasność i trzeźwość poglądu, zniekształca formy spraw i rzeczy, wykrzywia perspektywę widzenia.

Nie chciałbym być posądzany o propagowanie jałowego i tępego konformizmu, który żadną miarą nie przystoi pisarzowi. Myśl nie może i nie powinna stać na baczność, przeciwnie — jeśli ma być twórcza — musi mieć pełną swobodę reakcyj i poruszeń. Ale pomiędzy bezmyślnym konformizmem a równie bezmyślną przekorą ściele się dystans ogromny, słuszny zaś i płodny krytycyzm nie ma nic wspólnego z „integralnym" pieniactwem duchowym, które — nie kontentując się istnieniem „dziur" rzeczywistych — z uporem, godnym lepszej sprawy — wyszukuje „dziury w całym". A kogo pochłonie ta robota, ten już nie ma czasu ani siły na czynności bardziej pożyteczne, choćby na to, by chwasty, których nie brak, usuwać i tępić.

Wydaje mi się, że podjęcie odpowiednich zabiegów terapeutycznych przeciwko fobii upolitycznienia i uspołecznienia literatury oraz przypiłowanie pazurów szalejącemu demonowi przekory, wpłynęłoby poważnie na osłabienie tych oporów pisarskich, które mają źródło w dobrze znanym fakcie, że uzewnętrznienie w literaturze treści protestacyjnych i negatywnych wymaga stosunkowo mniejszego wysiłku niż udowodnienie pozytywnej i afirmatywnej postawy pisarza. Przezwyciężenie dwóch wspomnianych przeszkód subiektywnych dodałoby energii do uporania się z tą trzecią przeszkodą generalną. Tak sądzę, nie pretendując do nieomylności. W każdym bądź razie sprawa warta jest dyskusji.

Bolesław Dudziński

Czy jesteś już członkiem Klubu Literackiego „ODRODZENIA"?

List z Poznania

Na scenach poznańskich

Pięć miesięcy sezonu teatralnego 1947/48 pozwoliło się zorientować, że tutejszy kryzys teatralny, trwający od trzech lat, jeszcze się pogłębił, przechodząc w stan chroniczny. Po odejściu z końcem ubiegłego sezonu z Państwowego Teatru Polskiego dwunastu najlepszych sił z reżyserem Karolem Borowskim na czele, oraz kilku ważniejszych pracowników sceny z Teatru Nowego — placówki poznańskie zostały tak zdekompletowane, że o wytyczeniu linii repertuarowej czy o zadowalającym poziomie artystycznym spektakli — z małymi wyjątkami — trudno mówić.

Państwowy Teatr Polski pod przejściową, właściwie fikcyjną dyrekcją jedynego zresztą na Poznań reżysera, Emila Chaberskiego — dał do tej pory cztery premiery: „Rozbitki" Bałuckiego, „Świętoszka" Moliera, „Zagadnienie rosyjskie" Simonowa i prapremierę komedii Janusza Dybowskiego „Słońce w nocy".

„Rozbitki", grane rozbitkami pozostałymi po ubiegłym sezonie, miały nawet jak na Poznań krótki żywot. Brak przygotowania scenicznego młodego narybku aktorskiego oraz zmanierowanie (rola Strasza) pozostałych starszych aktorów zaciążyło prawdopodobnie najbardziej na koncepcjach postaci, co w końcu musiało się odbić na całości reżyserii. Spektakl był zlepkiem nie trzymających się sytuacji i figur, dał zamazany obraz epoki, nie wydobył ostrej satyry społecznej, zawartej w komedii. Braki zespołowe podobnie zaciążyły na „Świętoszku" Moliera. Wprawna ręka reż. E. Chaberskiego nie przezwyciężyła niestety oporu materiału aktorskiego, nie nadającego się do tej sztuki A Dzwonkowski (Tartuffe), typowy komik farsowy o dość ograniczonych możliwościach, aktor użyteczny ale nadużywany w tym teatrze, nie mógł udźwignąć roli „Świętoszka", wymagającej nie „gierek" ale pogłębienia psychologicznego i poważnego ujęcia bogatej molierowskiej postaci. Zawiódł także tym razem dobry aktor Tadeusz Chmielewski w roli Orgona, który dał nie postać z klasycznej komedii francuskiej, lecz nieco sarmacką w rysunku sylwetkę fredrowską; przy tym sylwetkę płaską, potraktowaną również jedynie zabawowo, nie wzbudzającą w widzu tej całej różnorodności uczuć, jaką wywołuje obraz głupoty ludzkiej, prowadzącej do dramatycznych powikłań.

W ciągu tych kilku miesięcy najlepszym teatralnie przedstawieniem było „Zagadnienie rosyjskie" Simonowa — zwarte, dynamiczne, o dobrze na ogół wypunktowanych dialogach, szczęśliwie obsadzone. Jasna ideologia sztuki pozwoliła aktorom dobrze interpretować nieskomplikowane postaci sceniczne, a reżyserowi — stworzyć dość interesującą całość.

Prapremiera farsy Janusza Dybowskiego „Słońce w nocy" będzie prawdopodobnie stanowiła osobną kartę w historii kasy teatralnej. Nadkomplety w najgorsze dla teatru dni powszednie, tłumy publiczności z przedmieść, a chyba i z prowincji, nasuwają myśl o konieczności stworzenia w większych ośrodkach miejskich jakiegoś specjalnego, artystycznie wartościowego teatru ludowego, który by zaspokoił potrzeby mas nieprzygotowanych jeszcze do wielkiego, klasycznego repertuaru, do eksperymentalnego, poetyckiego teatru czy choćby do przeciętnej komedii mieszczańskiej.

Oceniając dodatnio „Świętoszka" jako pozycję repertuarową, a „Zagadnienie rosyjskie" jako reżyserską — z ubolewaniem przyjmujemy fiasko dalszych dobrych zamierzeń repertuarowych po ustąpieniu E. Chaberskiego i powrocie do władzy dyrektora Stomy. Rezygnacja z zapowiadanej od pół roku „Wariatki z Chaillot" świadczy o zamiarze izolowania się od intelektualnie najdojrzalszego teatru francuskiego, nie pozbawionego wartości społecznych w tej sztuce, — z którego do tej pory nic Poznań nie oglądał.

Repertuar Teatru Nowego, z zespołem artystycznym jeszcze słabszym niż Państwowy Teatr Polski jest również przypadkowy, w bieżącym sezonie uzależniony w dużej mierze od zeszłorocznych kontraktów dyrekcji z tzw. „występowiczami" — Ćwiklińską, Solskim Leszczyńskim, Damięckim i i. Dobrą stroną tej polityki jest oczywiście możliwość oglądania owych wielkich, niekiedy już weteranów sceny; złą — że „występowicze" wybierają sztuki mało wartościowe, lecz zawierające role popisowe. Np Ćwiklińska jako lady Kitty w „Życie kręci się w kółko" Maughama, jako Żegocina (zupełnie nieodpowiednia dla niej rola) w „Panu Damazym" Blizińskiego, Damięcki i Górska w jednej ze słabszych sztuk Shawa „Uczniu diabła" itd.

Ostatnio Teatr Nowy, przyciśnięty bodaj stanowiskiem Rady Miejskiej, grożącej dużym podatkiem od tzw. widowisk nieartystycznych, a może i powodowany szlachetną chęcią współzawodnictwa z Teatrem Polskim, zaczyna przejawiać żywsze ambicje artystyczne. Po „Uczniu diabła" Shawa mówi się o „Klątwie" Wyspiańskiego, o „Dożywociu" z Solskim i Leszczyńskim, o innych ciekawych sztukach.. Oby nie były to tylko zapowiedzi.

Oceniając dorobek obu teatrów poznańskich w bieżącym półsezonie na tle dwu minionych lat, należy stwierdzić konieczność ujęcia działalności teatrów w ramy ogólnopaństwowej polityki kulturalnej, konieczność porzucenia tzw. dzikiej gospodarki i przejścia do racjonalnego planowania.

Wanda Karczewska

Kochanowski a Relkowić

Steckel Włodzimierz. Wpływ Kochanowskiego na Relkovicia. Budapest, Instytut Polski, 1943.

Tematem wydanej na powielaczu rozprawy dra Steckla jest wpływ Kochanowskiego na poetę chorwackiego z XVIII wieku, Relkovicia. Ściślej wpływ „Satyra" na utwór Relkovicia „Satir ili divlji czovjek". Dr Steckel wspomina, że tematem tym zajmował się jedynie historyk literatury chorwackiej T. Matić. Ale oprócz Maticia w r. 1928 na łamach chorwackiego pisma „Hrvatsko Kolo" chorwacki literat Ivan Esih poświęcił temu zagadnieniu dłuższy, ciekawy artykuł „Poljski i hrvatski Satir ili divlji czovjek", odnotowany przez h-ż b-i w „Ruchu Słowiańskim" (rok II, 1929, nr 8—9)!

Dr Steckel podejmując zagadnienie już poruszane przez Maticia i Esiha nie dał nowych wniosków ani materiałów. Ograniczył się tylko do bardzo szczegółowej analizy jednego i drugiego „Satyra" wskazując na uderzające rzeczywiście podobieństwa, które też zwróciły uwagę poprzednich badaczy. Gdy przychodzi do roztrząsania zagadnienia, czy Relković znał Kochanowskiego, Steckel daje odpowiedź twierdzącą, ale na jej uzasadnienie nie potrafi przytoczyć innych argumentów prócz formalnych i tematycznych podobieństw obu utworów.

Próba dowodu, że Relković mógł znać utwory Kochanowskiego jest naiwna, robi nawet wrażenie nieporozumienia. Steckel na podstawie przedmowy Relkovicia do drugiego wydania „Satira" wskazuje, że pomysł „Satira" powstał w Dreźnie, gdzie Relković odbywał służbę w czasie wojny siedmioletniej i ten pobyt Relkovicia w Saksonii służy mu do zbyt daleko idących wniosków: „Jeśli uwzględnimy, iż Relković napisał swego „Satyra" w Dreźnie właśnie na polsko-niemieckiej granicy, jeśli dalej nie zapomnimy o tym, że polska ludność saskiej prowincji była w tym czasie liczna, to teza o prawdopodobnym zetknięciu się z językiem polskim (i twórczością Kochanowskiego) zyskuje na wadze". Autor zarzuca zbytnią ostrożność sformułowaniu Maticia, że wpływ Kochanowskiego na Relkovicia „nie jest niemożliwy". Ależ jego własne stanowisko, wyprowadzanie pewników z hipotez — nie opiera się na żadnych podstawach naukowych. Czy Drezno było kiedy na polsko-niemieckiej granicy? Co to znaczy „polska ludność saskiej prowincji"? W Saksonii była wtedy stała ludność słowiańska, ale byli to Łużyczanie (z którymi Relković mógł się zetknąć). Jeśli idzie o Polaków, to były tam jednostki — bądź na dworze Augusta III, bądź w wojsku saskim, — Relković mógł mieć z nimi kontakt — ale to są tylko hipotezy! Równe dobrze mógł się z pojedyńczymi Polakami zetknąć w Wiedniu czy Pradze. Steckel mówi o wpływie Kochanowskiego na Czechów, o czym pisał w swoim czasie Horak, — i tą drogą mógł się też zapoznać Relković z twórczością Kochanowskiego — ale gdzie dowód, że poeta chorwacki znał literaturę czeską? Steckel nie ogranicza się zresztą do „Satyra" Kochanowskiego, wskazuje on również wpływ innych utworów Kochanowskiego na Relkovicia — ale i o tym pisał już Esih.

Poza tym nie można traktować wpływu „Satyra" Kochanowskiego na Relkovicia w oderwaniu od innych śladów oddziaływania naszego poety na twórczość południowosłowiańską, od wpływów Kochanowskiego w utworze jego „Saltijer slovinski".

Sam pomysł wydania w Budapeszcie, w warunkach ciężkich dla polskiej slawistyki, gdy cenzura faszyzmu węgierskiego nie dopuszczała żadnej polskiej publikacji poświęconej związkom naszej literatury z chorwacką, należy uznać za godny pochwały. Wszakże realizacja tego zamiaru w formie tej niby dysertacji dra Steckla, pisanej zresztą fatalną polszczyzną, musi być uznana za chybioną.

Jan Reychman

Przypominamy autorów doby pozytywizmu

Okres pozytywizmu przykuwa ostatnio uwagę historyków literatury, którzy w tej najbliższej nam epoce postępowych dążeń pragną odnaleźć twórcze do dziś tradycje. Poszukiwaniom tym musi jednak towarzyszyć daleko idąca ostrożność i wzmożona czujność, by nie ulec sugestiom pozornego podobieństwa, pod którym kryją się nieraz zasadnicze różnice w tendencjach pedagogicznych i dążeniach społecznych.

W okresie pozytywizmu uczyniono bardzo wiele, jeśli idzie o literaturę dla dzieci i młodzieży; małego odbiorcę otoczono daleko idącą pedagogiczną opieką, dbano o rzetelny podkład wiadomości rzeczowych w przeznaczonej dla niego lekturze, lecz troska o artyzm zeszła na plan dalszy (wyjąwszy Konopnicką) i, co za tym idzie, utwory te mają niewielką szansę przetrwania. Okazało się na przykład, że niezwykle w swoim czasie popularna „Historia o Janku górniku" Zofii Bukowieckiej (6 wydań) — choć odtwarza środowisko ludzi pracy i gloryfikuje szlachetność i dzielność — jest dziś nie tylko nieczytelna i przestarzała, ale uderzająca w niej również przykre i niesmaczne z dzisiejszego punktu widzenia akcenty społeczne.

O wznowieniu tej czy innej pozycji sprzed lat kilkudziesięciu decyduje jak dotąd inicjatywa poszczególnych wydawców, nieraz trafna, niekiedy jednak przypadkowa. Największą łatwość korzystania z bogatego dorobku doby pozytywizmu ma firma Gebethnera i Wolffa, która począwszy od r 1861 zasilała rynek najpoważniejszą liczbą pozycji z dziedziny literatury dla dzieci i młodzieży i drukowała najlepszych w owym czasie autorów: jak Konopnicka, Urbanowska, Bukowiecka, Anczyc, Bełza i inni. Firma Gebethnera w minionym okresie gwiazdkowym przypomniała dwie w swoim czasie bardzo poczytne pozycje: „Wspomnienia niebieskiego mundurka" Wiktora Gomulickiego (wyd. 10-te) i „Złoty pierścień" Zofii Urbanowskiej (wyd. 4-te).

„Wspomnienia niebieskiego mundurka" — to jedna z nielicznych książek, w której materiał autobiograficzny nie roztopił się bez reszty w lirycznym wzruszeniu; autentyczne postacie żyją, żywo zaobserwowane sceny składają się na całość atrakcyjną i dobrze związaną, mimo braku właściwej fabuły powieściowej. Książka odtwarza życie uczniów gimnazjalnych w Pułtusku z konieczności jednopłaszczyznowo, gdyż musiały pozostać nietknięte te sprawy i wzruszenia, które wiązały się z narodową niewolą; autor zresztą i w innych dziedzinach nie usiłuje stawiać zagadnień w sposób programowy i rozwiązywać ich pryncypialnie; po prostu stwarza żywe sytuacje, a wnioski nasuwają się same — na przykład wśród rozmów i uczniowskich „kawałów" mimochodem ukazuje suchy i martwy system szkolny, by w zakończeniu wprowadzić postać nowego inspektora, który „był doskonałym pedagogiem, rozumiejącym, że to nie szkoła uczy, lecz uczniowie uczą się sami, a on ma im tylko pomagać". Podobnie nie porusza autor zagadnień społecznych w sposób zasadniczy, lecz ukazuje życie młodzieży różnych środowisk, synów rzemieślników, oficjalistów, zagonowej szlachty i obywateli („włościanie jeszcze nie odważają się posyłać dzieci do szkół, choć niejeden o tym przemyśliwa"...), dając obraz ich serdecznego, mimo różnic społecznych — współżycia. Książka Gomulickiego jest serdeczną, pełną humoru gawędą o życiu szkolnym lat siedemdziesiątych: nie ma w niej nużącego dydaktyzmu, cel wychowawczy nie wysuwa się na plan pierwszy jako czujny kontroler wszelkich wypowiedzi i książka ta właśnie przez swą naturalność i prostotę ma większą szansę przetrwania paru jeszcze pokoleń niż włoska powieść z życia chłopców, — egzaltowane, przeszlachetnione i coraz bardziej nieczytelne „Serce"...

Drugim utworem wydanym przez Gebethnera jest „Złoty pierścień" Zofii Urbanowskiej. Jest to jedna z nielicznych baśni, jakie ukazały się w dobie pozytywizmu, a i ona jest pozbawiona właściwej poetyckiej fantastyki. Król, królowa, wróżka i złoty pierścień — to jedynie oprawa, a celem jej — uwypuklenie przemiany duchowej Zoryny, „której duszyczka oczyściła się w ogniu cierpienia, poznała sama siebie, a serce zabiło miłością do(?) ojczyzny i pragnieniem poświęcenia". Chwilowa zamiana ról królewny i wiejskiej dziewczyny (na wzór „Księcia i Żebraka") pozbawiona jest zupełnie aspektu społecznego, służy jedynie tendencji umoralniającej. Interesujące natomiast — choć niezbyt pedagogiczne, jest wykazanie wpływu kaprysów królewny na losy państwa. Na tle produkcji doby pozytywizmu pozycja ta wyróżnia się właśnie z racji swej — wprawdzie kompromisowej — fantastyki, dzisiaj jednak, gdy mamy tyle piękniejszych baśni, wydaje się nieco naiwna, są w niej poza tym potknięcia językowe, które należało wygładzić.

Obie książki nie są właściwie dla okresu pozytywizmu charakterystyczne, programowe tendencje nie wysuwają się na plan pierwszy, natomiast wznowiona przez wydawnictwo M Kota „Dorcia" Marii Swiderskiej porusza sprawy społeczne w sposób jak na owe czasy (i to zwłaszcza na terenie literatury dla dzieci) — dość śmiały i istotnie potrzeba przypomnienia tej pozycji wydaje się na pozór całkowicie uzasadniona. Opowieść ta ma swoją nie pozbawioną szczególnego smaczku historię w dziejach myśli demokratycznej, o czym informuje nas zwięzłe słowo wstępne (idąc po linii swoich lektur, firma wydawnicza Kota dba o dobrą informację, konieczną zwłaszcza jeśli idzie o pozycje dawne i byłoby wskazane, by wszyscy podążali jej śladem). Oto „Dorcia", drukowana w „Wieczorach Rodzinnych" w r. 1885, wzbudziła żywy protest rodziców jako niepedagogiczna i wywrotowa z racji swej tendencji społecznej. Na czym polega owa tendencja? Autorka ośmiesza i piętnuje ostro dziedziczki-snobki, mówiące po francusku i odnoszące się z pogardą do chłopów, oraz potępia wystrojone panienki i sadystyczne skłonności małych dziedziców a jako wzór stawia biedną sierotkę, która nie tylko swą anielską dobrocią wywiera uszlachetniający wpływ na otoczenie, lecz ponadto zdobywa fach i zakłada na wsi placówkę o szerokim zasięgu gospodarczym i oświatowym. Mimo że powiastkę ożywia demokratyczne przekonanie o duchowej tężyźnie chłopskiego dziecka, jego żywym i samorodnym pędzie do nauki w chwili obecnej należy uznać „Dorcię" jedynie za pewnego rodzaju ciekawostkę. Owa dobroć, pełna upokarzającego cierpiętnictwa, które każe bohaterce w myśl ideałów chrześcijańskich schylać się w pokorze do rąk tych, którzy ją prześladują, dlatego tylko że jest chłopką, owo uparte pragnienie „nawrócenia" ich, przerzuca zagadnienie w sferę swoiście pojętej moralności, a odrywa od podłoża społecznego. Tym fałszom natury społecznej towarzyszą niedomagania artystyczne, naiwność psychologiczna, jaskrawy dydaktyzm i atmosfera przypominająca silnie powiastki Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Wznowienie „Dorci" jest pamiątką wydawniczą.

Z trzech omówionych pozycji jedynie „Wspomnienia niebieskiego mundurka" należy uznać za pełnowartościową.

Krystyna Kuliczkowska

KOMUNIKAT „OSSOLINEUM" Nr 3

Lista ofiarodawców, którzy od dnia 1.IX.1947 — do 31.XII.1947 nadesłali bezpłatnie książki dla biblioteki „Ossolineum" we Wrocławiu. Liczby w nawiasie oznaczają ilość książek.

1. Anonimy (32). — 2. „Awir", Katowice (6). — 3. Biuro Studiów Osadniczo - Przesiedleńczych, Kraków (1). — 4. „Czytelnik" (35). — 5. Gebethner i Wolff, Łódź (1). — 6. Harcerskie Biuro Wydawnicze, Warszawa (4). — 7. Instytut Bałtycki, Bydgoszcz (11). — 8. Instytut Naftowy (14). — 9. Instytut Pracy Nauczycielskiej, Lublin (2). — 10. Instytut Śląski (34). — 11. Instytut Zachodni, Poznań (23). — 12. T. Kałkowski, Katowice (2). — 13. St. Kamiński, Kraków (12). — 14. Kasa Mianowskiego, Warszawa (1). — 15. Koło Medyków, Poznań (1). — 16. „Książnica - Atlas", Wrocław (9).— 17. „Książka", Warszawa (38). — 18. „Las" Sp. Wyd. (1).. — 19. „Meta", Katowice (3). — 20. Mikułowski, Kraków (4). — 21. Ministerstwo Kultury i Sztuki (1). — 22. „Nasza Księgarnia", Warszawa (19). — 23. B. Olszewicz, Wrocław (7). — 24. Ossolineum Zakł. (12). — 25. Państwowa Rada Ochrony Przyrody, Kraków (3). — 26. Państwowe zakł. Wyd. Szkol. (57). — 27. S. G. G. W. Zakład Hodowli Ogólnej (34). — 28. XX. Salwatorianie, Trzebinia (8). — 29. E. Skórkowski, Kraków (5). — 30. T. Solski, Kraków (5). — 31. A. Śnieżko, Wrocław (19). — 32. Trzaska - Evert - Michalski (5). — 33. M. Tyrowicz, Kraków (7). — 34. Uniwersytet Wrocławski (2). — 35. A. Wojciechowska, Wrocław (5). — 36. Wojskowy Instytut Naukowo - Wydawniczy (19). W. Ziembicki, Wrocław (1). — 38. J. Żuławski, Wrocław (3).

Od Administracji

Mimo podniesienia ceny poszczególnego numeru do zł 25, prenumerata miesięczna „Odrodzenia" wynosi — jak dotychczas — 80 zł

Epopea francuskich kolejarzy

„Walka o szyny“ (La bataille du rail). Scenariusz i reżyseria: **Réné Clement.** Zdjęcia: **Henri Alekan.** Dialogi: **Colette Audry.** Muzyka: **Yves Baudrier.** Wykonawcy: francuscy kolejarze. Produkcja: Ciné-Union-Film.

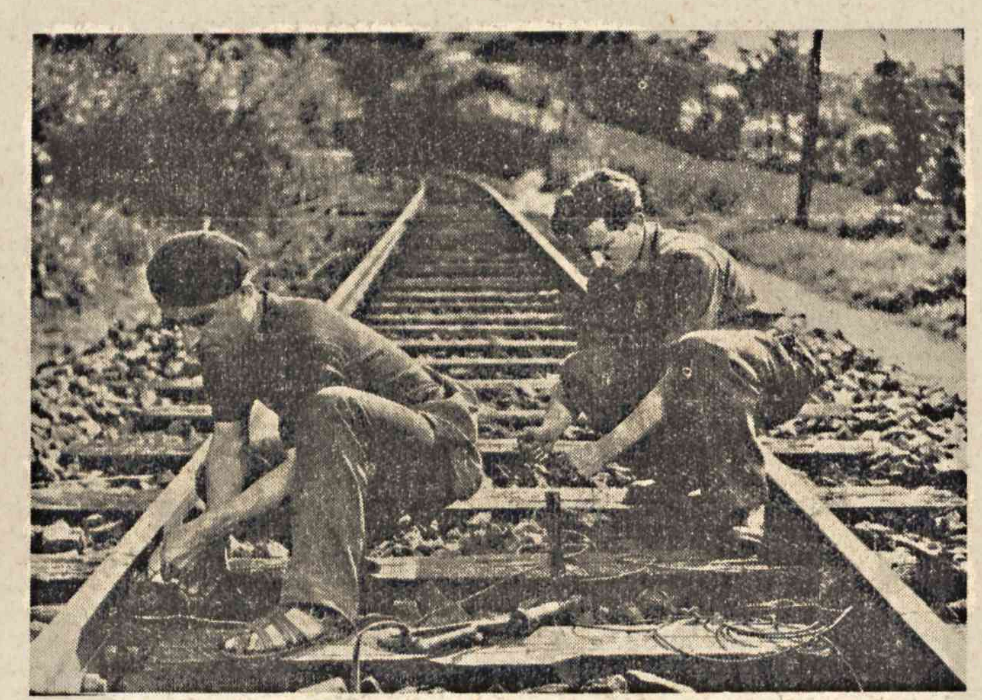
Z kolejarzami zapoznał się Réné Clement o wiele wcześniej, kiedy kręcił krótkometrażowy film dokumentarny „Ci z kolei“. Film przedstawiał pracę maszynisty pociągu pośpiesznego Paryż—Marsylia i niewiele brakowało, by kosztował Réné Clementa życie, gdy zainstalowany z aparatem na stopniu lokomotywy zawadził przy szybkości 90 km/godz. o most. Skończyło się jednak szczęśliwie, powstał film bardzo ciekawy, a Réné Clement zapoznał się po raz pierwszy ze środowiskiem kolejarzy. Kiedy SNCF (francuskie koleje państwowe) powierzyły mu po wyzwoleniu nakręcenie nowego krótkiego metrażu o Ruchu Oporu francuskich kolejarzy, Réné Clement znowu wszedł w środowisko kolejarzy, by jak najdokładniej zapoznać się ze szczegółami ich życia i pracy.

„Walka o szyny“ miała być bowiem 600-metrowym filmem, który w dokumentarnej formie miał zapoznać widza z wysiłkiem kolejarzy w walce z okupantem. Ślady tego pierwszego okresu, to cała pierwsza część filmu, gdzie obrazy zmontowane bez jednolitej akcji przedstawiają rozmaite sposoby walki kolejarzy o Francję: a więc przewożenie nielegalnych pasażerów przez granicę dwóch stref, a więc przemyt nielegalnej prasy, zmiana nalepek wskazujących przeznaczenie transportu, niszczenie materiału, bomby magnetyczne, wykolejanie. „Najpierwotniejsza“ spośród tych wszystkich scen to plan biura kierownika ruchu, w którym komentator, co zresztą nie razi w całości, zaznajamia nas ze skomplikowanym mechanizmem pracy i aparatury kolejowej.

Już przy nakręcaniu tej dokumentarnej partii Clement myślał o stworzeniu filmu długometrażowego, do którego dorobił scenariusz. SNCF zgodziło się łatwo i obiecało dostarczyć wszelki niezbędny sprzęt, a że w owych latach 1944/45 film amerykański nie zalał był jeszcze w zupełności rynku francuskiego, więc i kapitały znalazły się szybko na finansowanie filmu. I tak powstała historia konwoju „Apfelkern“.

Kompozycyjnie film jest raczej nierówny i trzy jego części słabo i nieco sztucznie są powiązane ze sobą. Z wyjątkiem epilogu, który tematyką i formą odbiega od poprzednich dwóch części, nie razi to jednak zbytnio, bo reżyser potrafił utrzymać całość według jednej linii wytycznej: pokazać walkę (część I), jeden z jej przykładów konkretnych (część II) i osiągnięty w końcu cel tej walki (część III). Skądinąd każda z tych części jest kompozycyjnie całością dla siebie. Każda zaczyna się raczej od scen spokojnych, nie pozwalających przeczuć dramatycznego przebiegu późniejszych wydarzeń, każda przez coraz szybszy montaż dochodzi do swego crescendo, którym będzie egzekucja wziętych na chybił trafił zakładników po akcji sabotażowej (część I), wykolejenie pociągu „Apfelkern“ (część II) i przejazd pierwszego pociągu wolności (część III). Każda z tych części jest dziełem samym w sobie; jeżeli trzecią wydaje się najsłabsza, to raczej na skutek spadku krzywej zainteresowania, której punktem szczytowym było bezwątpienia wykolejenie „Apfelkernu“. Niektórzy krytycy francuscy uważają, że film powinien się już był na tym wykolejeniu zakończyć, niesłuszne jednak to moim zdaniem twierdzenie, bo, co zresztą leżało w intencjach Clementa, należało pokazać cel walki i jego osiągnięcie.

Każda część i każdy obraz został opracowany z niesłychaną drobiazgowością i dyskrecją. Nie słyszymy ani razu deklamacji patriotycznych ani mów, nie widzimy nawet żadnego pompatycznego bohaterstwa. Jest tylko walka i niebezpieczeństwo, jest świadomość celu splatająca się z obawą, jest ciągłość życia splatająca się ze śmiercią. Właśnie obawa. Maluje się na twarzy młodego człowieka podczas kontroli pociągu pasażerskiego przez Niemców na granicznej stacji, wkrada się między ukrytych w zbiorniku wody nielegalnych pasażerów, gdy oficer niemiecki każe dolać wody, powstaje u młodego pastuszka, gdy ślepy pociąg zatrzymuje się obok niego na polu istnieje u żony zawiadowcy, która nie pozwala, by mąż wziął udział w akcji i u samego zawiadowcy, gdy w chwili wyzwolenia cofa szybko wywieszony już sztandar Francji na odgłos kilku zabłąkanych strzałów. Właśnie



„Walka o szyny“: kolejarze francuscy zakładają minę

śmierć, prosta cicha, bezsilna, po której życie przewala się natychmiast normalnym swoim biegiem. Więc dyskretne i takie normalne w swym tragiźmie zdjęcie przez Niemców Żydówki z dzieckiem z pociągu po kontroli, więc niesłychanie mocny obraz egzekucji zakładników, dyskretny i prosty, bo nie widzimy ani Niemców, ani trupów i o wszystkim mówi twarz ofiary w chwilę przed strzałem, ruch ręki zaciskanej rozpaczliwie i bezsilnie, odpryski muru i pajączek, który spokojnie snuje swoją nić. Więc wreszcie spadający z nasypu akordeon, który jeszcze niedawno wygrywał Niemcom ich żołnierską tęsknotę za domem. Spada z nasypu po katastrofie wydając kilka dźwięków i wcale już nie trzeba obejrzeć zwłok Niemców.

Jeżeli te sceny są proste i naturalne, jeżeli życie zazębia się tak bezpośrednio ze śmiercią w filmie, to dlatego, że zazębiało się tak i w rzeczywistości. Clement chciał — i w pełni swój cel osiągnął — oddać w filmie prawdę. Nawet z punktu widzenia filmowego trzymał się prostoty, nie używał żadnych tricków, makiet, unikał jakichkolwiek niepotrzebnych ruchów aparatu i rzadko nawet używa wielkiego planu (z wyjątkiem dwóch wspaniałych twarzy: kolejarza wiercącego otwór w wagonie i zakładnika w chwilę przed śmiercią). Także operator, Henri Alekan, unikał specjalnych efektów świetlnych czy „ciekawych“ kątów, których nadmiar tak razi w filmach amerykańskich. Zwracając jednak uwagę na wysoką klasę artystyczną zdjęć nie wolno zapomnieć, że były one robione w warunkach niesłychanie trudnych, w plenerze i w zabudowaniach kolejowych, zupełnie nieprzystosowanych do filmowania. Ażeby uzyskać zdjęcia toru uciekającego spod lokomotywy, Alekan zainstalował się wraz z aparatem pod buforami parowozu i tak filmował w biegu pociągu.

W tym filmie naprawdę wszystko jest prawdziwe. Parowozownia, której atmosferę tak świetnie uchwycił operator szczególnie podczas alarmu, jest prawdziwą parowozownią, budka dróżnika jest prawdziwą budką, a dworzec dworcem. (W większości wypadków dworcem Austerlitz w Paryżu). Niemcy są Niemcami, kolejarze kolejarzami, (Clement zbliża się tu do teorii Eisensteina), prawdziwy jest nawet dźwig, rozbity pociąg i opancerzony „Apfelkern“ z tankami. Wykolejenie „Apfelkernu“ było najtrudniejszą sceną filmu, bo tych zdjęć, nawet gdyby nie były udane, nie można by było już powtórzyć. SNCF nie dałby jeszcze jednego pociągu ze sprzętem wojennym i nie zatrzymałby jeszcze całego ruchu na tym odcinku. 30 operatorów zostało więc zaangażowanych i z różnych stanowisk kręcili tę katastrofę. Z uzyskanych zdjęć wmontowano w film zaledwie 10 proc., reszta, nieraz bardzo ciekawa (np. zdjęcie od dołu wyskakującej z szyn lokomotywy) poszła na razie do archiwum.

Osobne miejsce należy się muzyce, która rzadko w którym filmie tak harmonizuje z treścią, kompozycją, montażem, obrazem. Baudrier dał przykład prawdziwej muzyki filmowej, która nie istnieje sama dla siebie, natomiast łączy się z filmem i podkreśla szereg jego elementów. Tak np. wolna i ponura parafraza Horst-Wessel-Lied pojawia się zawsze wraz z Niemcami i występuje wszędzie tam, gdzie istnieje jakikolwiek ślad okupanta, nawet w postaci obwieszczenia czy jakiegoś zakazu (tablica na stacji granicznej zakazująca Żydom przejazdu). Drugi zasadniczy motyw towarzyszy kolejarzom i zmienia rytm i natężenie w zależności od rytmu akcji i pracy kolejarzy. Baudrier zmienia swą muzykę za każdym razem, gdy Clement zmienia plan i obraz, przy czym obydwa te elementy — wizualny i słuchowy — są ściśle ze sobą zsynchronizowane. Muzyka staje się sielankowa w scenie z pasterzem, przechodzi w krótki moment ciszy po egzekucji, aby zaraz potem przelać się w toczące się normalnie życie, kilkoma dźwiękami harmonii oddaje nastrój czekających w „Apfelkernie“ żołnierzy niemieckich. Jej najsłabszym momentem jest chór pod koniec filmu.

Użycie dźwięku jest nadzwyczaj trafne i udane. Najlepszym momentem jest przenikliwy gwizd lokomotyw, ostatni hołd poległym zakładnikom, jedyna pieśń, którą mogą ich uczcić ich koledzy, dalej wspomniana już harmonia spadająca po katastrofie „Apfelkernu“ i cisza przed i po bitwie oddziału partyzantów. Przerywana jedynie ćwierkaniem ptaków jest wspaniałym kontrastem ze zgiełkiem samej bitwy i tym samym podkreśla jak gdyby wielkość czynu zmasakrowanych partyzantów.

O dialogach mówić trudno, bo ich właściwie nie ma. Są krótkie zdania zamieniane naprawdę już tylko wtedy, kiedy nie można ich było uniknąć. Jedyne dwa dłuższe monologi — wspomniany już komentatora w pierwszej części i przemówienie oficera niemieckiego, które dzięki tłumaczeniu przez kolejarza francuskiego, ukrywającego w kieszeni nielegalną ulotkę, nabiera raczej sensu komicznego — są zupełnie na miejscu. Trudno też powiedzieć cokolwiek o grze aktorów, bo ci kolejarze nie grają wcale — oni zwyczajnie żyją i zachowują się tak, jak gdyby wcale nie dostrzegali obecności kamery. Tym prawdziwszy wydaje się dzięki temu film, który przez swój realizm i rzadko spotykane walory wybił się na czoło nie tylko kinematografii francuskiej ale i światowej, której jest jednym z najlepszych osiągnięć okresu powojennego.

Mariusz Margal

Rozmowa z autorem „Pożegnań”



Stanisław Dygat

Nie jestem zwolenniczką zeznań nie zupełnie dobrowolnych i wywiad z autorem wydawał mi się zawsze rodzajem niedyskrecji osobistej. Toteż jako złośliwość losu przyjęłam misję odwiedzenia łódzkiego Parnasu (czytaj: Dom Literatów Bandurskiego 8).

Po przezwyciężeniu wahań docieram do mieszkania autora „Jeziora Bodeńskiego“, który zaczyna rozmowę od lakonicznego stwierdzenia, że nie lubi mówić o utworach skończonych!

Zrealizowany pomysł literacki zrywa związek z autorem, odcina się od twórcy, żyje własnym życiem i trudno powiedzieć, dlaczego.

— Bo ze skończonym utworem, proszę pani, to tak jak ze skończoną miłością: kończy się i nie wraca, i trudno wyjaśnić przyczynę. O „Jeziorze Bodeńskim“ na przykład nic bym już pani teraz nie powiedział.

Nie raduje mnie ten oryginalny przyczynek do psychologii twórczości, próbuję szukać ratunku w metodzie „genetyczno - biograficznej“. W nastroju obustronnych oporów wewnętrznych padają pytania i odpowiedzi.

— Jakimi ciekawymi szczegółami, towarzyszącymi powstaniu powieści, zechciałby się pan podzielić z czytelnikami Klubu Literackiego „Odrodzenia“?

— Nie wiem, czy będą ciekawe. Powieść napisałem zaraz po powstaniu, w Komorowie pod Warszawą. Zaznaczam jednak, że powstała tam część druga powieści. Część pierwszą napisałem o wiele **później — latem ubiegłego roku** w Kudowie.

— Czy jakieś przeżycia autentyczne z okresu pisania powieści nie znalazły w niej oddźwięku?

— Poza scenerią warszawskich okolic — Leśnej Podkowy i Komorowa — żadne. „Pożegnania“ pod tym względem są zupełnym przeciwieństwem „Jeziora Bodeńskiego“: nie zawierają zupełnie pierwiastka autobiograficznego ani w postaciach, ani w przeżyciach. Na materiał literacki powieści złożyła się pewna suma bardzo odległych i przetransponowanych spostrzeżeń i obserwacji. Jest to więc prawie idealny wyraz artystycznej fikcji.

— A czy wojujący z mieszczańskimi przejawami życia bohater to też idealna fikcja literacka?

— Najzupełniej, chociaż w każdym bohaterze powieści jest zawsze coś z autora.

— A satyryczny charakter powieści?

— Sądzę, że wypłynął z chęci rozrachunku ze środowiskiem, w którym się żyło i z którym się definitywnie zerwało. Stąd najsilniejszy akcent satyryczny w części drugiej, w charakterystyce sfer posiadających.

— Czy ten krytyczny stosunek do przeszłości nie odbił się na tytule powieści? Bo dlaczego „Pożegnania“? I ta zastanawiająca liczba mnoga?

— A wie pani, że z tymi „narodzinami“ tytułu było dość ciekawie. Pierwszą sugestię takiego ochrzczenia powieści nasunęło mi słuchanie sonaty Beethovena „Les adieux“ (op. 81a). Po prostu więc tłumaczenie. O ile sobie przypominam, składa się ona z trzech części: „Rozstanie“, „Nieobecność“, „Powrót“. Interesujące, że w przebudowanej, dwuczłonowej kompozycji powieści można by się doszukać analogicznych partyj, chociaż ujęcie tematyki było zupełnie niezależne od kompozycji beethovenowskiej sonaty. Ostatecznie tytuł zrósł się organicznie z treścią i nabrał tonu symbolicznego.

— W związku z ideologią powieści, czy zechciałby pan odpowiedzieć na pytanie: O ile „Pożegnania“ spełniają aktualny obecnie dezyderat książki dla mas?

— Pyatnie kłopotliwe, bo każdą dobrą książkę uważam za odpowiednią dla najszerszych kręgów czytelniczych. Trudno mi samemu osądzić, czy moja książka jest dobra. Ze względów jednak na wielowarstwowość powieści, w której liryzm godzi się z satyrą, charakter społeczny z komentarzem psychologicznym, a refleksja kończy się często humorystyczną pointą — wydaje mi się, że każdy czytelnik potrafi w niej znaleźć coś dla siebie. Poza tym w porównaniu z „Jeziorem Bodeńskim“ jest ona bardziej fabularna: mniej tu komentarza psychologicznego, więcej zdarzeń.

— Czy wobec tego „janusowego“ oblicza powieści i diametralnej często różnicy w ocenie utworu przez krytyka i autora nie zdradziłby Pan tajemnicy, które oblicze powieści uważa pan za najwartościowszy wkład literacki?

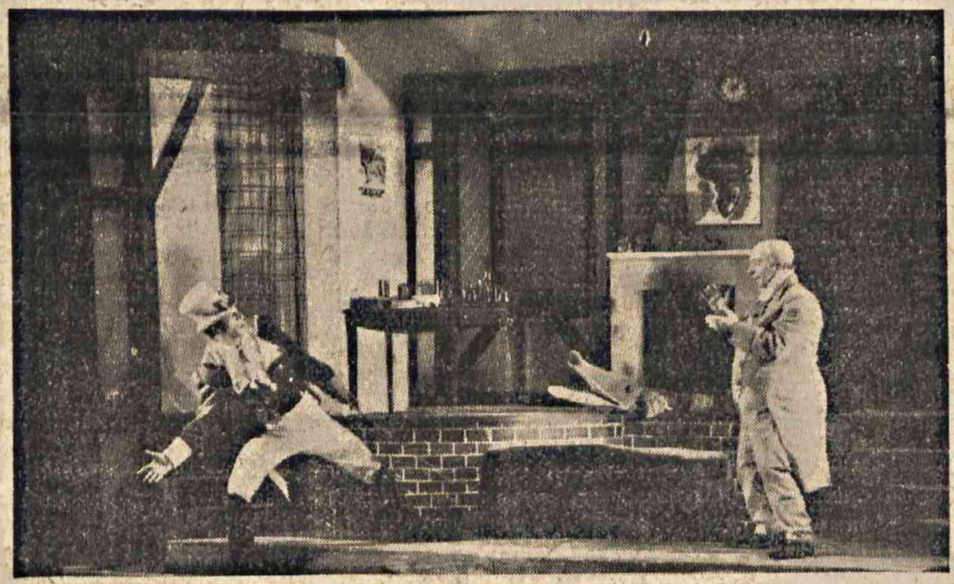
— Odpowiedź na to pytanie pozostawiam krytykom.

— Podziwiam odwagę. Wmówią w pana tak chytrze siedem grzechów głównych, poszufladkują i podłożą własną ideologię, że nie pozna pan rodzonego dziecięcia.

Wzruszona tak rzadką skromnością opinii autora o własnym dziele, przerywam śledztwo. Pragnę tylko jeszcze usłyszeć opinię pisarza o nowej formie sprzedaży książki, dostępnej tylko dla członków Klubu. Okazuje się, że autor z radością powitał inicjatywę „Czytelnika“ i cieszył go fakt, że właśnie jego książka daje początek pierwszej serii książek zamówionych i oczekiwanych przez czytelnika.

Irena Bajkowska

W teatrze dla dzieci



Scena z „Doktora Dolittle i jego zwierząt“

Właściwie recenzje z przedstawień dla dzieci powinnyby pisać dzieci. Oczywiście nie w „Odrodzeniu“. Ale w miesięczniku „Teatr“? Pismo specjalne poświęcone sprawom teatru! Tu „fachowcy“ powinni znaleźć zrozumienie!

W tym żarcie prawdą jest wskazywanie na korzyści, jakie mogłoby przynieść publikowanie głosów dzieci o przedstawieniach dla dzieci. Korzyści mogą być wielorakie, niektóre z nich mogą przydać się zagadnieniom nie tylko teatralnym.

Pobudzaniem dzieci do spisywania ocen teatralnych powinni zająć się rodzice, wychowawcy, nauczyciele, badacze naukowi. Pobudzaniem mogłyby w różnych wypadkach kierować różne zamiary: raz można by dziecięcym autorom pozostawić zupełną swobodę w wyborze spraw, innym razem można by im stawiać szczegółowe pytania, dotyczące aktorów, wystawy scenicznej, treści utworu. Najciekawsze prace powinny być publikowane. Zapewne miesięcznik „Teatr“ od czasu do czasu publikowałby chętnie tych niezwyczajnych recenzentów lub przynajmniej sprawozdania z ich recenzji.

Znalazłszy się na widowni „Teatru Dzieci Warszawy“, próbowałem w czasie każdego antraktu zapoznać się z sądami moich młodych sąsiadów i sąsiadek. Niemal bez skutku. Dzieci wypowiadają swe wrażenia ogólnikowo, zresztą podobnie jak dorośli, gdy nie mają dostatecznego wyrobienia lub gdy są zażenowani. Nie pozostawało mi nic innego, jak — na wzór tego co często czynię z dorosłymi — przejść do wysuwania pytań zahaczających o szczegóły: co podobało się wam najbardziej? co się wam nie podobało? Otrzymywałem odpowiedzi nie przekraczające ilości słów potrzebnej do nazwania człowieka lub rzeczy. A gdy zadawałem pytania, dlaczego jedno podobało się, a drugie nie, innej odpowiedzi prócz uśmiechów nie otrzymywałem.

Reakcje spontaniczne, dokonywające się w czasie przedstawienia, również niewiele mi powiedziały, bo podobno tego dnia dzieciarnia tłumiła wyrazy swych wzruszeń. W moim sąsiedztwie najżywsze poruszenie wywołał czub i dziób, gdy ukazały się za oknem i jeszcze nie wiadomo było na pewno, kto wejdzie na scenę. Śmiech całej sali zdobyła sobie małpka, gdy — jak zręczny złośliwiec złapała położony niebacznie kapelusz i uniosła go na swojej głowie. Jedno i drugie mówi o znaczeniu ruchu w odbiorze wrażeń teatralnych, a drugie ma w sobie zawartość tych niezliczonych zjawisk, które potwierdzają moją teorię komizmu. Wewnętrzne składniki przedstawienia, jego tematy szlachetności, działały również skutecznie. Doktór Dolittle, lekarz, który leczy z współczucia dla niedoli i wyrzeka się dóbr dla dobra, budzi sympatię. Opowiadano mi, że bywają dni, w których dzieciarnia uczestniczy w losach tego lekarza tak intensywnie, że gdy na scenie pada pytanie, czy można mu wierzyć, widownia zasypuje scenę gorącymi zapewnieniami: „można! można!“

Nie mogąc przytoczyć autorytatywnych sądów dzieci ani określić ich reakcji spontanicznych, towarzyszących przebiegowi akcji, zmuszony jestem ograniczyć się do zanotowania moich własnych ocen. Wypadają one całkowicie pochlebnie dla wszystkich, którzy swą współpracą przyczynili się do nadania „Dr. Dolittlowi“ tej postaci, jaką otrzymał w „Teatrze Dzieci Warszawy“.

Pierwsze słowa uznania należą się dyrektorowi teatru, pani Krymkowej, duszy przedsięwzięcia. Obok niej widzimy naszą wyobraźnią jej doradców, wytrawnych pedagogów, którzy przedyskutowują z nią najtroskliwiej każdy szczegół tekstu i każdy szczegół przedstawienia, aby wszystko, co przynosi scena, było zgodne z umysłowością dziecka i z intencjami wychowawców. Pracom scenicznym dobrze przewodzi p. Jan Wesołowski. Autorzy, ze swym przewodnikiem na czele, spełniają swoje role bez zarzutu, w czym wspierają ich projektodawcy dekoracji i kostiumów, pp. Błażejowski i W. Miller.

Gdy „Teatr Dzieci Warszawy“ zestawiłem z krakowską „Wesołą Gromadką“, którą co prawda znam z jednego przedstawienia, oddaję wyższość Warszawie w zakresie gry aktorów, a Krakowowi w zakresie reżyserii i dekoracji. Nie wiem, co bardziej chwaliłyby dzieci, czy prosty realizm Wesołowskiego, czy uartystyczniony realizm p. Biliżanki, sądzę jednak, że styl krakowski obdarza dusze dziecięce wrażeniami potrzebnymi życiu.

Na szczególne uznanie zasługuje fakt, że „Teatr Dzieci Warszawy“ jest teatrem stałym w pełnym tego słowa znaczeniu, że daje przedstawienia codziennie, że osiąga tym zdobycz, jakiej dotąd nie osiągnął u nas żaden inny teatr dla dzieci. Codziennie czterysta główek gromadzi się na widowni, a że na każdy utwór teatralny przypada przeciętnie sto przedstawień, więc wzrasta już w kręgu sztuki teatralnej 40 tysięcy młodziutkich widzów, przyszłych wielbicieli teatru. Takie liczby mnożą się same, bo każdy wielbiciel teatru to przecie ośrodek wychodzących od niego fal teatralnych, wdzierających się w obojętność i podmywających jej bazy. Stanowczo: „Teatr Dzieci Warszawy“ stanowi poważną pozycję w życiu teatralnym naszego kraju.

Tadeusz Peiper

Nagroda literacka



TADEUSZ HOŁUJ

otrzymał nagrodę im. Premiera Józefa Cyrankiewicza (100.000 zł) za działalność literacką. Hołuj, debiutujący przed wojną jako młody poeta, jest autorem wydanego po wojnie tomu poezji „Wiersze z obozu“ i powieści, której część pierwsza „Próba ognia“ ukazała się na półkach księgarskich w r. 1946, a część druga ma wkrótce wyjść z druku. Napisał sztukę „Dom pod Oświęcimiem“, której prapremiera odbędzie się wkrótce w Teatrze Polskim w Warszawie. Grana też będzie w tym sezonie w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi, w krakowskim „Starym Teatrze“ i w teatrze wrocławskim.

Prenumeratorzy już otrzymali pierwszy numer nowego
DWUTYGODNIKA
PRZEGLĄD MIĘDZYNARODOWY
w treści:
wywiad z min. Modzelewskim
Nakład ograniczony
Prenumerata kwartalna złotych 300.—
Administracja: Aleje Jerozolimskie Nr. 55
Zamówienia na odwrocie blankietu P. K. O. I — 6788 wraz z wpłatą należności

Przyczynki do historii dyplomacji polskiej

W książce Tadeusza Cypriana i Jerzego Sawickiego „Agresja na Polskę w świetle dokumentów" *), która z materiałów norymberskiego procesu odsłania treść najbardziej ekskluzywnych narad i wypowiedzi Hitlera i jest kluczowym dziełem dla wszystkich rozważających polską politykę zagraniczną, znajduję między innymi potwierdzenie tezy, że zasadnicze linie tej polityki oscylują stale pomiędzy tymi samymi biegunami, bez względu na koniunkturalne odchylenia i prądy ideologiczne, a zatem element tzw. niespodzianek gra w niej rolę zupełnie drugorzędną.

„Agresja na Polskę" stanowi o tyle novum wśród opracowań historycznych, że autorami są dwai prokuratorzy. Sądownictwo podobnie jak inne zawody wyrabia swoją specyficzną deformację zawodową, która w tego rodzaju narracji mogłaby skłaniać do operowania źródłami przede wszystkim pod kątem widzenia wielostronnego naświetlenia winy Niemiec hitlerowskich. Pokusa takiego potraktowania tematu byłaby tym większa, że nie ma precedensu w stosunkach międzynarodowych.

„Lebensraum" nie jest w swej istocie niczym nowym. Różne państwa w różnych epokach prowadziły wojny agresywne dla ugruntowania lub rozszerzenia różnych form ekspansji i władania. Interpretacja tego pojęcia taka, jaką wprowadzili w życie Niemcy, była, w przeciwieństwie do innych wojen, odrzuceniem, z wyjątkiem siły, wszystkich środków, jakie politycy, władcy i wodzowie stosowali, celem przeprowadzenia swych planów. Do tych środków należą: obchodzenie, ale nie negowanie, porządku moralnego, przyjęcie, że psychika ludzka podlega pewnym deterministycznym prawom, których nie można gwałcić bezkarnie, zrozumienie, że sztuka rządzenia nie polega li tylko na usystematyzowaniu przymusu.

Autorzy „Agresji na Polskę" którzy oprócz zebrania tłumaczenia i posegregowania dokumentów i tekstów podali krótkie własne komentarze, wiążące je w całość, potrafili szczęśliwie uniknąć prokuratorskiej nuty, przez co książka tym głębsze wywiera wrażenie.

W wywodach Hitlera, które ze względu na okoliczności, w jakich je wypowiedział oddają niewątpliwie wiernie jego myśli, spotykamy obok bystrych spostrzeżeń i sądów apodyktyczne głupstwa np.: „Posiadamy także swoją piętę achillesową, jest nią Zagłębie Ruhry". „Nam łatwo jest powziąć decyzję, nie mamy nic do stracenia, możemy tylko zyskać (na wywołaniu wojny)". „Stało się dla mnie rzeczą jasną, że Polska nas zaatakuje na wypadek konfliktu z Zachodem". „Jest faktem, że w obecnej chwili armia rosyjska ma małą wartość" (listopad 1939).

Przykładem trafności przewidywań Hitlera była wiara, że naród niemiecki stanie się posłusznym narzędziem jego woli. Mimo że nazywa siebie „człowiekiem wielkich rozwiązań", na próżno będziemy się doszukiwać w jego planach koncepcji politycznych na miarę doskonałości Wehrmachtu lub choćby tylko wykraczających poza podbój i niewolnictwo. Przemawiając do nielicznego grona wybrańców nie wspomina nawet o Neuordnung, które miało przecież służyć budowaniu pokoju po zwycięstwie niemieckim.

Jeśli jednak autorzy „Agresji na Polskę" potrafili udramatyzować zebrany materiał, to nie zdołali oświetlić dostatecznie kulis i umotywować wszechstronnie linii postępowania głównych postaci. Brak archiwów i publikacji polskich musiał się wydatnie przyczynić do tego mankamentu. Rozdziały są niedostatecznie chronologicznie powiązane, co zmusza czytelnika do szukania głównych wątków polityki zagranicznej zainteresowanych. W odniesieniu do dyplomacji polskiej jest to tym trudniejsze, że tych wątków było kilka i to sprzecznych (np. w sprawie Rusi Podkarpackiej i wspólnej granicy polsko-węgierskiej).

Natomiast niemieckie plany podboju rozwijają się konsekwentnie. Marszałek von Blomberg zeznaje: „Od 1919, a w szczególności od 1924, trzy istotne kwestie terytorialne interesowały Niemcy — korytarz polski, zagłębie Ruhry i Kłajpeda. Jeśli chodzi o kwestię polską, to 90 proc. narodu niemieckiego podzielało zdanie oficerów". Niemcy w osobie Ribbentropa otwierają ten problem 24 października 1938. Beck odpowiada instrukcją dla Lipskiego: „Każde inne rozwiązanie a w szczególności włączenie Gdańska do Rzeszy doprowadziłoby niechybnie do konfliktu". A na wiosnę 1939 mówi do ministra rumuńskiego Gafencu: „Moje zaufanie do kanclerza niemieckiego oparte jest na głębokim doświadczeniu".

Bez mała wszystkie ważniejsze wymiany zdań polsko-niemieckie w latach 1935—1939 były ze strony Niemiec licytacją z zaproszeniem. Ten motyw jest wyraziście uwypuklony w „Agresji na Polskę". Zaproszenia idą crescendo od insynuacji i sondaży do niedwuznacznych propozycji. 19 XI. 1938 Ribbentrop oświadcza Lipskiemu: „Chciałbym, abyście wiedzieli, że rząd niemiecki ujmuje stosunki z Polską w płaszczyźnie wielkiego planu politycznego". 26 III 1939 stwierdzi w rozmowie z Lipskim: „Gdy ja 21 marca zaofiarowałem ścisłe przymierze, wy wydaliście zarządzenia wojskowe". Hitler choć raz powiedział prawdę — nie chodziło o Gdańsk. O jaki „wielki plan polityczny" chodziło? 26 marca 1939 Ribbentrop stwierdza: „Rząd niemiecki uznaje pierwszeństwo Polski w sprawach ukraińskich".

Rząd polski, wierny sakramentalnej formułce „niezależności" polityce „równowagi", przyjmuje niemieckie zaproszenia negatywnym milczeniem, ale nie odżegnywuje się od nich dostatecznie silnie, a Beck stwarza celowo wcale niepowierzchowne pozory, że między Warszawą a Berlinem doszło do daleko idącej intymności. Utrzymuje to Londyn i Paryż w niepewności i stwarza nowe możliwości manewru i „gry".

Nasz system bezpieczeństwa, opierający się na aliansie z Francją (której sile i determinacji Beck nie ufał) i od 31 marca 1939 na gwarancji brytyjskiej, a raczej na zupełnie fałszywym założeniu, że Niemcom zależy na niepodległej Polsce z punktu widzenia własnych interesów i że do wojny nie dojdzie, był tragiczną fikcją. Brakowało w tym systemie atutów, których dostarczyć mógł tylko sojusz ze Związkiem Radzieckim.

O ile nie mamy dowodów, że ze strony rządu oferty niemieckie poważnie rozpatrywano o tyle wiemy, że wszystkie nasze plany operacyjne aż do wiosny 1939 były zwrócone na wschód a nie zachód. Kolejowe koncentracje wojsk opracowane przez GISZ i Ministerstwo Komunikacji, miały na zachodzie kryptonim „ZygmunT" a na wschodzie „WacłaW". Teczki planów „Zygmunta" były prawie puste, teczki „Wacława" aż trzeszczały od nadmiaru treści. Rząd stał widocznie na stanowisku, że niebezpieczeństwo grozi Polsce od wschodu a nie od zachodu. A przecież Związek Radziecki był największym wrogiem Monachium i jego intensywna działalność dyplomatyczna na wszystkich frontach, aż do lipca 1939 miała na celu wyłącznie niedopuszczenie do niemieckiej wojny napastniczej. Moskwa dopiero wtedy odwróciła swą politykę w kierunku innym niż własne granice, gdy zwątpiła o koalicji. Jest również prawdopodobne, że pewne wojskowe koła polskie hodowały po cichu własne projekty, nie pokrywające się bynajmniej ze stanowiskiem rządu.

21 września 1938 ambasador von Moltke pisał w raporcie do Berlina: „Polityka Becka jest dzisiaj bardziej niepopularna niż kiedykolwiek". Wynikałoby z tego, że polska opinia publiczna trafnie doceniała niebezpieczeństwo niemieckie. Jaka polityka byłaby wtedy u nas popularna? Koncentrowanie sił własnych i pozyskanie sobie maksimum sił sprzymierzonych przeciwko Niemcom. Zmontowanie odpowiednio potężnej koalicji było niemożliwe bez oparcia jej o Związek Radziecki. Polska myśl polityczna, mająca swoje odbicie w opinii publicznej, nie zadośćuczyniła zadaniom epoki.

Jan Meysztowicz

*) Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. **Tadeusz Cyprian i Jerzy Sawicki.** Agresja na Polskę w świetle dokumentów. Z przedmową **Henryka Świątkowskiego.** Warszawa, Polski Instytut Wydawniczy, 1946; tom I, str. 282 i 6 nl., tom II str. 319 i 2 nl.

KONKURS
na pamiętniki i wspomnienia żołnierskie

Dom Wojska Polskiego, dążąc do upamiętnienia czynu zbrojnego żołnierza polskiego w okresie drugiej wojny światowej i chcąc tym samym dać jak najpełniejszy obraz jego zmagań, rozpisuje konkurs na pamiętniki i wspomnienia żołnierskie z okresu drugiej wojny światowej.

Wspomnienia lub pamiętniki powinny być zaczerpnięte z następujących walk i frontów:

1) Walki ochotników polskich w Hiszpanii w latach 1936—1939.

2) Kampania wrześniowa (Westerplatte, Kutno, obrona Warszawy, Kock, Hel i inne).

3) Walka podziemna na terenie kraju (zarówno oddziałów leśnych, jak i dywersji miejskiej jak np.: partyzantka, akcja odwetowa, Ruch Oporu w obozach koncentracyjnych — Oświęcim i inne). Wspomnienia obrazujące opór społeczeństwa polskiego w okresie okupacji zarówno bierny, jak i czynny np.: życie konspiracyjne organizacji wojskowych i ich najcharakterystyczniejsze przejawy; prace tajnej drukarni, kolportaż, szkolenie itp.

4) Droga bojowa Pierwszej i Drugiej Armii Wojska Polskiego (Lenino, Bug, Warszawa, Wał Pomorski, Kołobrzeg, Gdynia i Gdańsk, forsowanie Odry i Nysy, Rozbork, Budziszyn, Drezno, Praga i — Berlin).

5) Walka polskich oddziałów wojskowych na zachodzie (Norwegia, Francja w roku 1940 i udział Polaków we francuskim Ruchu Oporu, inwazja, walki w obronie Wielkiej Brytanii, Afryka, Jugosławia, Włochy, Niemcy).

6) Osiągnięcia Odrodzonego Wojska Polskiego w okresie pokoju (akcja odminowywania kraju, działalność Wojsk Ochrony Pogranicza, walki z bandami faszystowskimi).

Prace konkursowe należy nadsyłać do dnia 1 maja 1948 roku włącznie.

W konkursie mogą brać udział jedynie uczestnicy drugiej wojny światowej (żołnierze wszystkich frontów, członkowie byłych organizacji podziemnych) oraz oficerowie, podoficerowie i szeregowi pełniący obecnie służbę wojskową. Zastrzega się, iż autorzy prac nadesłanych na konkurs nie mogą być członkami Związku Zawodowego Literatów Polskich ani też członkami Zw. Zaw. Dziennikarzy R.P.

Dom Wojska Polskiego wyznacza następujące nagrody:

Pierwsza nagroda 50.000 zł.
Druga nagroda 30 000 zł.
Trzecia nagroda 20 000 zł.
oraz 5 (pięć) wyróżnień po złotych 10 000

Jury konkursu: Władysław Bieńkowski, płk. Piotr Borowy, gen. bryg. Jerzy Kirchmayer, Jerzy Piórkowski, Stefan Żółkiewski.

Prace konkursowe powinny zawierać materiał zgodny z prawdą i będący wiernym odbiciem ówczesnej rzeczywistości, widzianej oczyma walczącego żołnierza.

Prace nagrodzone w konkursie stają się własnością Domu Wojska Polskiego. Dom W P zastrzega sobie prawo dowolnego łączenia i dzielenia nagród jak również zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do zakupu innych nadesłanych na konkurs prac oraz zużytkowania ich w formie wydawniczej.

Prace konkursowe opatrzone godłem (maszynopis albo bardzo wyraźny rękopis) wraz z drugą kopertą zawierającą: imię, nazwisko oraz adres autora, należy nadsyłać pod adresem:

Dom Wojska Polskiego, Warszawa, Królewska 13, Wydział Repertuaru i Twórczości Literackiej, z dopiskiem „Konkurs na wspomnienia żołnierskie".

·CZYTELNIK·
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
WYBORY POEZJI

ANTONI SŁONIMSKI
WYBÓR POEZJI
str 197
zł 350

LEOPOLD STAFF
WIERSZE WYBRANE
str 182
zł 320

JULIAN TUWIM
WYBÓR POEZJI
str 278
zł 550

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
WIERSZE WYBRANE
str 239
zł 450

MIECZYSŁAW JASTRUN
POEZJE WYBRANE
str 234
zł 460

ADAM WAŻYK
WIERSZE WYBRANE
str 124
zł 280

Notatnik muzyczny

Potwory i rajski ptak

W 46 numerze „Nowin Literackich" porusza autor „Listów do Felicji" jedno z najbardziej palących i dramatycznych zagadnień naszego wieku.

Kurt von Kopplovitz chodzi „na służbę", morduje masowo na wzgórzu za miastem Żydów, po czym wraca, myje się, skrapia perfumami i — po dobrze zakropionej kolacji — siada do fortepianu, by grać do późnej nocy Mozarta.

Historia Kurta Kopplovitza jest sprawą, której przemilczeć się nie da. Nie da się jej pominąć. Lepiej się z nią rozprawić. Poszukać jakiegoś wyjścia. Czy znajdziemy je kiedy? „Kto zna prawdę i nie mówi jej" — grozi w swym wierszu Rudolf Leonhard... Prawda jest w historii sztuki motorem dawniejszym, niż Sokrates i Plato. W 1939 r. stało się rzeczą jasną, że zbrodnicza banda, która napadła świat, czyta Goethego i słucha Bacha — słucha go pilniej niż wiele innych narodów. W wartowniczych „sztubach", podczas przesłuchań, widywałem na łóżkach najbardziej zezwierzęconych „wachmanów" otwarty tom Hölderlina. Na półkach ustawione były komplety klasyków, a wieczorem słyszałem przez ścianę muzykę mistrzów XVII i XVIII wieku, Schuberta i innych, najbardziej intymnych autorów.

W niemieckim wydaniu bestii ludzkiej nie chodzi tylko o muzykę. Potwór słuchać lubi nie tylko muzyki, rozkoszuje się także poezją. Rzymscy cezarowie — i to najbardziej krwawi — grali, śpiewali, deklamowali i protegowali sztuki.

Sztuka jest rozmaita, jak życie. Cezar szedł z igrzysk na ucztę. W czasach renesansu amatorzy i mecenasi sztuk pięknych nie byli barankami. Ani poezja, ani muzyka, ani mrok gotyckich ostrołuków nie chroni przed zbrodnią, której masowego wybuchu byliśmy świadkami i ofiarami. Krwawą kulturę Mayów wyrażały dzieła zdumiewające po dziś. Kurt von Kopplovitz jest tylko piekielną, wyolbrzymioną nagle w XX wieku zagadką, lecz nie jest czymś nowym.

Wracamy do antycznych czasów, w których roztrząsano namiętnie stosunek moralności do sztuki. W XIX wieku starano się te nurty rozdzielić, wychowaliśmy się na tych liberalnych poglądach. Dziś zagadnienia te powracają z nieprawdopodobną siłą.

Kurt myje ręce, ilość trupów na szekspirowskiej scenie stała się tak wielka, że trzeba je palić, by nie zawaliły całego teatru. Ile trzeba godzin Mozarta, by spalić wszystkich?

Prawdziwy artysta musi sobie choć raz w życiu postawić pytanie, czy sztukę może tworzyć zły człowiek i czy może być złym człowiekiem prawdziwy jej znawca, miłośnik, odbiorca. Sztuka oddaje się każdemu, czy to będzie Perykles, Borgia, czy Ludwik XIV. Podejrzewam, że zbrodnie Nerona przesłoniły jego wielką wrażliwość na sztukę, może nawet i ciekawą jego twórczość. Sprzeczności w naturze ludzkiej są tak wielkie, że średniowieczne sąsiedztwo maszkar i cherubinów jest zaledwie bladym tych sprzeczności symbolem.

Kurt Kopplovitz umywa ręce, żeby zasiąść do spraw pięknych. Rzeczą artysty jest zdjąć ciężar win, którymi obarczają sztukę głosy, mnożące oskarżenia. Pojawiają się te oskarżenia coraz częściej po całym świecie, by wspomnieć tylko wywody Tomasza Manna. Muzyka, ulubiona sztuka Niemców, musi podjąć te oskarżenia.

Prawda, piękno i moralność płyną rozmaitymi strugami przez dzieje. Artyści bywają odważni i tchórzliwi, odbiorcy przewrotni, łagodni lub krwawi — to wszystko nie tyczy sztuki. Znamy przykłady, kiedy najczystsze idee wprzęga się do zbrodniczych celów. Przewrotność i zakłamanie są tym, co najbardziej buntuje artystę. Artysta musi mieć wyostrzone nie tylko ucho i oko, lecz i sumienie. Musi być obserwatorem, czasami lunatykiem.

Ostatni „List do Felicji" ukazał muzykom przepaści, od których nie można oczu odwrócić. Zwłaszcza dziś, gdy moralnością przestała już być sprawa dziecinnej igraszki: kto, z kim i dlaczego — a stała się sprawa mroków, sprawa naruszająca równowagę bytu. Mieszają do tego muzykę, jak gdyby chcieli pomieszać istotę gotyckiej maszkary i cherubina. A one tylko sąsiadują ze sobą. Kurt Kopplovitz używał Mozarta jak diabeł, który przyjmuje postać rajskiego ptaka.

Zygmunt Mycielski

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

LITERATURA

Jo van Ammers-Küller. Patrioci. Dzieje rodziny pewnego regenta amsterdamskiego (1778 — 1787). Wydanie drugie Wrocław Książnica Atlas. 1948; str 413 i 3 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych 22 Bajka polska wieku Oświecenia w wyborze Opracował **Stanisław Adamczewski.** Warszawa, „Książka", 1947; str XIV i 2 nl i 103 i 5 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych 21 **Michał Bałucki.** Grube ryby. Komedia w 3 aktach Opracowała **Janina Żurawicka.** Warszawa, „Książka", 1947; str XXIV i 109 i 3 nl.

H. Boguszewska. Czekamy na życie Warszawa Gebethner i Wolff, 1947; str 223 i 1 nl.

Janina Brzostowska. Płomień w cierniach Warszawa, E Kuthan, 1947; str 105 i 3 nl.

A. J. Cronin. Zielone lata Powieść. Katowice, Awir, 1948, str 292.

A. J. Cronin. Klucze królestwa. Powieść. Katowice, Awir, 1948; str. 368.

Maria Dąbrowska. Stanisław i Bogumił Dramat wysnuty z dziejów jedenastego wieku Warszawa, E Kuthan 1948; str 107 i 1 nl.

Władysław Dunarowski. Leżąc krzyżem Powieść Warszawa E Kuthan 1947; str 279 i 1 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. 5 **Alojzy Feliński.** Barbara Radziwiłłówna. Tragedia w pięciu aktach. Opracował **Kazimierz Czachowski.** Wstępem opatrzył **Arkadiusz Mirkowicz. Warszawa,** „Książka", 1947; str XI i 1 nl. i 94 i 2 nl.

F. Gładkow. Testament ojcowski. Łódź, Władysław Bąk, 1947; str. 282 i 14 nl.

Kazimierz Goździewski. Na kursie 270° Warszawa. „Prasa Wojskowa". 1947; str. 61 i 1 nl.

James Hilton. Zagubione dni Powieść. Katowice, Awir, 1947; str 336.

Janusz Jasieńczyk. Po Narviku był Tobruk... Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, (1947); str. 231 i 1 nl.

N. Jemielianowa. Chirurg. Powieść. Tłumaczenia dokonał **Mieczysław Maneli.** Katowce, Awir, 1947; str. 170 i 2 nl.

Kazimiera Jeżewska. Wiersze niemodne Warszawa, E. Kuthan. 1947; str 79 i 5 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych 20. **Ignacy Krasicki.** Utwory wierszowane w wyborze. Opracował **Stanisław Adamczewski.** Warszawa, „Książka", 1947; str. XII i 4 nl. i 148 i 4 nl.

Jack London. Miłość życia. Okładkę projektował **Aleksander Bernaciński.** Warszawa, „Książka", 1947; str 108 i 2 nl.

Jack London. Odyseja północy. Autoryzowany przekład **Stanisławy Kuszelewskiej-Rayskiej.** Warszawa, E. Kuthan 1947; str. 168 i 4 nl.

W. Somerset-Maugham. Ostrze brzytwy Powieść Katowice, Awir, 1947; str 334 i 2 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych 25 **Adam Mickiewicz.** Wybór poezyj Opracował **Stanisław Furmanik.** Warszawa, „Książka", 1947; str XIII i 3 nl i 35 i 5 nl.

Biblioteka Narodowa Seria I. Nr 125 Młoda Polska. Wybór poezyj. Opracował **Tadeusz Żeleński (Boy).** Wydanie drugie. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1947; str. LVI i 474.

Gustaw Morcinek. Zagubione klucze. Powieść Katowice, Awir, 1948; str. 258 i 2 nl.

Leon Pasternak. Linia życia. Łódź Związek Zawodowy Literatów Polskich. 1948; str. 78 i 2 nl.

Stanisław Piętak. Białowiejskie noce Powieść Warszawa, „Książka", 1947; str 186 i 2 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych 15 **Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).** Anielka. Opracował **Zygmunt Szweykowski.** Warszawa, „Książka", 1947; str. XI 1 nl. i 193 i 3 nl.

Mała Biblioteczka „Książki", 6 **Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).** Antek. Wydanie drugie. Warszawa, „Książka", 1947; str 29 i 3 nl.

Kazimierz Zenon Skierski. Nieurodzaj. Powieść Kraków Księgarnia św Anny. 1947; str 388.

Wanda Wasilewska. Legenda o Janie z Kolna. Warszawa, „Prasa Wojskowa", 1947; str 122 i 2 nl.

Rex Warner. Lotnictwo. Katowice. Awir 1947; str. 216 i 8 nl.

Józef Warta - Przewłocki. Partyzanci. Widowisko sceniczne w trzech aktach. Jasło, Biblioteka Ludowa. (b.r.w.); str 41 i 3 nl.

Wojciech Żukrowski. Piórkiem flaminga czyli opowiadania przewrotne. Katowice, Awir, 1948; str. 205 i 3 nl.

POLITYKA

Wojciech Bylina. Konferencja moskiewska (10.III. — 24.IV 1947) Warszawa, „Książka", 1947; str. 22 i 2 nl.

EKONOMIKA

Zdzisław Morawski. Pieniądz (Romantyczne przygody waluty) Przedmowa **Adama Krzyżanowskiego.** Warszawa, E. Kuthan, 1947; str. 207 i 1 nl.

Informator Powszechny. Zeszyt I. ZSRR w cyfrach. Najważniejsze wiadomości o Związku Radzieckim. Warszawa. „Prasa Wojskowa", 1947; str. 28 i 4 nl.

Korespondencja

„ŚWIAT MŁODYCH“

Do redaktora „Odrodzenia“

„Świat Młodych“ jest dobrze redagowanym pismem. Jest bardzo młodzieżowy, jest bardzo żywy, jest bardzo ciekawy — co za dziw, że jest bardzo popularny. Właśnie dlatego jednak, że jest młodzieżowy i że jest popularny, nie wolno mu zamieszczać takich informacji, jak poniżej zacytowana z nru 42 z dnia 14.XII.1947, z której dowiedziałem się, że:

„Tak, jak amerykańska policja rekrutuje się w większości z Irlandczyków, tak znowu granatowa policja Republiki Francuskiej wywodzi się w lwiej części z mieszkańców Korsyki. Korsykańczycy czarnowłosi, krępi i niscy nienawidzą Francuzów i z dużą trudnością przyswajają sobie trudny język francuski. Aby stwierdzić, jak szczerze nie lubią oni francuskiego tłumu, wystarczy popatrzeć, z jaką gorliwością posługują się oni przy rozpraszaniu ulicznych demonstracji“.

Po czym następuje fotografia, na której policjanci są w hełmach i nie można stwierdzić, czy są czarnowłosi i która jest zrobiona z góry, tak że nie można stwierdzić, czy są krępi i niscy. Ergo: nie można wywnioskować, że przedstawieni na niej policjanci są Korsykańczykami.

Korsyka, jak na pewno autorowi tej notatki nie wiadomo, należy do Francji od 1760 roku. Należy do Francji z tego prostego powodu, że Genua znajdowała się w kłopotach finansowych i sprzedała wyspę Francji. W owych czasach takie transakcje załatwiało się bezdolarowo i szybko. Od tego czasu Korsyka dała Francji wielu ludzi — od Napoleona do Danielle Casanova, od tego czasu do szkół wprowadzono język francuski i nieprawdą jest, że „Korsykańczycy z trudnością przyswajają sobie język francuski“, skoro uczą się go od dzieciństwa w szkołach i skoro on jest jedynym językiem oficjalnym. Gdyby autor przypadkiem jakimś niezwykłym spotkał Korsykańczyka i powiedział mu (w trudnym języku francuskim) to wszystko, co napisał w „Świecie Młodych“, naraziłby się z pewnością na uszkodzenie ciała, bo Korsykańczycy, choć nie zawsze są krępi i niscy, są jednak zawsze krewcy. Naraziłby się także na zemstę straszną i długotrwałą, bo autor wie chyba, że na Korsyce panuje prawo vendetty. Nieprawdą jest bowiem, że Korsykańczycy nienawidzą Francuzów, skoro sami czują się Francuzami, chociaż obok francuskiego używają i znają język włoski. Nieprawdą jest, że nienawidzą Francuzów i proszę nie zapominać o tym, że to na Korsyce zrodził się pierwszy francuski maquis. I że podczas wyborów przeszło jedna trzecia głosów oddana została tam na partię komunistyczną.

Najgorzej jednak jest z tym składem policji francuskiej. W całej Francji jest policjantów przeszło 300 tysięcy, na całej Korsyce jest mieszkańców tyleż. Dokładne 322.850. Więc jak to jest z tą „lwią częścią“? Czyżby wszyscy mieszkańcy Korsyki z dziećmi włącznie przybrali się w policyjne mundury? Zapewniam autora, że w Ajaccio rzeczywiście „lwia część“ policji rekrutuje się z Korsykańczyków, tak jak w Paryżu ta lwia część wywodzi się z Paryża, a w Marsylii z Marsylczyków. Szkoda natomiast, że swych wiadomości nie wywodzi autor z lepszych źródeł, bo „Świat Młodych“ jest dobrym pismem, jest ciekawym pismem, jest młodzieżowym pismem i nie powinien wprowadzać czytelnika w błąd.

Mariusz Margal (Paryż).

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia“

Do recenzji mojej pt. „Plon ubiegłej gwiazdki“ w nrze 3 „Odrodzenia“ wkradły się trzy błędy, które niniejszym prostuję.

Zamiast „opowieść Żurawskiego“ „Pójdziemy w świat“, ma być: opowieść **Żurakowskiej**. Zamiast: „Kossak Karmański jadą na pięknych wierzchowcach“ ma być: Kossak, Karmański, **jazda** na pięknych wierzchowcach...“ Zamiast: „księgarnia Młota“ ma być Księgarnia **M. Kota.**

Krystyna Kuliczkowska (Krościenko n D).

Plotki, plotki...

W 1945 roku dwóch szwagrów — Polska jest krajem silnej więzi rodzinnej — doszło do wysokich stanowisk, jeden za granicą, drugi w kraju.

Tymczasem zawakowała ambasada w Z., stanowisko wyższe niż oba ich stanowiska razem. Rozglądano się za kandydatem. Któregoś dnia dygnitarz zagraniczny dowiaduje się, że jego krajowy szwagier jest przewidziany na ambasadora w Z.

— Trzeba ostrzec co rychlej biedaka! — zadecydował kochający szwagierek.

I z dalekiej zagranicy skrobnął taki list:

„Mój drogi Puniu, właśnie się dowiadujemy, że jesteś najnowszym kandydatem na ambasadora w Z. Wiesz, że znam nieco tę placówkę, i wiesz jak Ci szczerze życzę. Śpieszę Ci tedy napisać, byś tego stanowiska za nic w świecie nie przyjmował. Jest ono wyjątkowo trudne, drażliwe, delikatne, niewdzięczne... cieszę się, żem uciekł stamtąd...“

List szedł „okazją“, to znaczy odbył niejedną kwarantannę w kieszeniach rodaczych. Tymczasem w Wiśle upłynęło nieco wody, w MSZecie nieco czasu, pojawiły się nowe kandydatury, wśród nich — kandydatura zagranicznego szwagra.

— Czy nie przyjąłby pan ambasady w Z.? — zapytano.

— Czegoż się nie robi dla Ojczyzny — westchnął zagraniczny szwagier i przyjął ambasadę, od której tak gorąco odmawiał szwagra krajowego.

Wtedy właśnie gdy wiadomość o tym rozeszła się w kołach oficjalnych, szwagier krajowy odebrał wreszcie ów zapóźniony nieco list. Odczytał go z pewnym zabawieniem (czemu się nie dziwimy), po czym wsadził do nowej koperty — i przeadresował do nadawcy...

■

Dobrze przed wojną posłem polskim w Holandii był znany historyk prof. W. Kętrzyński, późniejszy więzień Oświęcimia.

Razu pewnego do Hagi zawitał Paderewski. Mistrz miał być przyjęty przez królową Wilhelminę na specjalnej audiencji w towarzystwie polskiego posła. Przyjęcie było czarujące. Królowej Wilhelminie towarzyszył jedynie jej dosyć małomówny książę małżonek.

Gdzieś na początku wizyty, książę-małżonek szturknął posła polskiego dyskretnie i zapytał:

— Jak się mówi po polsku „au revoir“?

— Do widzenia!

— Do widzenia — powtórzył książę — do widzenia, do widzenia, do widzenia, do widzenia, do widzenia...

I przez resztę wizyty, korzystając z rozmowy Paderewskiego, wykuwał pilnie, acz szeptem:

— Do widzenia, do widzenia, do widzenia, do widzenia, do widzenia...

Wreszce nadszedł koniec wizyty, wszyscy wstali, Paderewski złożył głęboki ukłon królowej i właśnie miał się wycofywać ku wyjściu, gdy książę małżonek wstrząsnął jego prawicą z najbardziej czarującym uśmiechem i zawołał jak najgłośniej:

— „Do swidanja!“

Nemo

Marszałek Michał Żymierski — Gen. M. Spychalski

WOJSKO POLSKIE

1944-1947

Z przedmową Prezydenta RP
BOLESŁAWA BIERUTA

Oprawa płócienna

str. 360 Portrety i facsimile na kredzie zł 1000

WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA“

„JAK JA TERAZ WYGLĄDAM“

czyli

Kłopoty autora „Zaczarowanej dorożki“



K. I. GAŁCZYŃSKI *FOT. H. HERMANOWICZ*

Otrzymaliśmy od K. I. Gałczyńskiego dwie przesyłki: utwór liryczny pt.: „Powrót do Eurydyki“ *), oraz następujący list otwarty:

I

LIST OTWARTY DO DOKTORÓW: KAZIMIERZA KUMANIECKIEGO I KAZIMIERZA MICHAŁOWSKIEGO, PROFESORÓW, NA RĘCE DOKTORA LIDII WINNICZUK — REDAKTORÓW „MEANDRA“, MIESIĘCZNIKA POŚWIĘCONEGO KULTURZE STAROŻYTNEGO ŚWIATA

Bogowie filologii!

Litości! Zbłądziłem:

W wierszu moim pt. „Grób Krasickiego“ („Odrodzenie“ Nr 4 (165) z dn. 25 stycznia br.) zamiast:

obok tarnina wróblom na uciechę,
w tarninie chmury senne —
i mówią chmury: „On w kraj
spadał śmiechem
jak Zeus złotym deszczem
w Selene;
ale mu wlazła itd.

winno być:

obok tarnina wróblom na uciechę,
w tarninie chmury senne —
i mówią chmury: „On w kraj
spadał śmiechem
jak Zeus złotym deszczem
w Semele;
ale mu wlazła itd.

Ponieważ każde dziecko wie, nawet taki mały ilustrowany Larus wie, że Zeus nie spadał złotym deszczem w Selene, tylko spadał w Semele, która była oczywiście matką Dionizosa i córką Kadmusa, króla Teb. Więc słusznie powiedziała kiedyś o mnie moja ciocia: — Jakeś kiep, nie pchaj się do Teb.

I jak ja teraz wyglądam! Oto, co nazywa się strzelić byka. Ale strzelanie byka to u mnie rodzinne: Jeden mój stryj był rzeźnikiem, a drugi, niestety, torreadorem.

Z poważaniem
K. I. Gałczyński (Kraków)

*) Znowu ta mitologia!

PRZYPISEK REDAKCJI

Żeby pokazać naszym Czytelnikom, jak wygląda polski autor po strzeleniu byka, zamieszczamy powyżej fotografię naszego sympatycznego współpracownika, zrobioną rzekomo w trzy minuty po strzeleniu byka.

II

POWRÓT DO EURYDYKI

Gdy mi wróżyli w Awinionie,
wyszedł as trefl, gdy rzekła: Przełóż.
Zełgały karty. Do Eurydyki
wróciłem, prowincjonalny Orfeusz.

A jeszcze w kartach wychodził sufler.
Bardzo wysoki. Blondyn. Kamil.
Zaś mnie? Mnie mieli zatłuc kuflem
w oberży „Pod apostołami“,

a tu na opak: Życie w śpiewie,
dawny ton skrzypki mej cygańskiej,
czysty jak wzór tych chmur na niebie
serafińsko-uzbekistański —

i ona, Ona, wciąż jak panna,
jak ten najlepszy owoc w sadzie,
jak ta Natalia — Aleksandra,
lecz ta Natalia, co nie zdradzi!

Dzień pełen pracy, no i płacy,
na rękopisie promień złoty;
widać — jakby tu rzekł Horacy:
HOC ERAT IN VOTIS.

K. I. GAŁCZYŃSKI

(wiersz wyjęty z „Zaczarowanej dorożki“, książki nowych wierszy K. I. Gałczyńskiego, które ukażą się w dniach najbliższych w nakładzie Spółdzielni Wydawniczej „CZYTELNIK“).

Najbliższe premiery w miejskich teatrach warszawskich

„Chory z urojenia“ Moliera. W najbliższych dniach odbędzie się premiera komedii Moliera „Chory z urojenia“. Reżyseria Karola Borowskiego, kostiumy i dekoracje projektu prof. Zofii Węgierkowej, opracowanie muzyczne Andy Kitschman. W rolach głównych Józef Klejer jako Argon i Janina Martini jako Antosia.

„Żeglarz Szaniawskiego. Wkrótce odbędzie się premiera „Żeglarza“ Jeszego Szaniawskiego, w reżyserii Zbigniewa Koczanowicza. Dekoracje — Jan Kosiński. Obsada: Szczepan Baczyński, Jan Nowicki, Janina Pollakówna, Klemens Roman, Czesław Roszkowski, Witold Rychter, Henryk Rzewuski, Jerzy Wasowski, Mieczysław Winkler.

„Król Włóczęgów“ wg G. Festa i B. Heckera. Dobiegają końca próby „Króla Włóczęgów“. Tekst polski J. Tuwima i Z. Zawadzkiej, według G. Festa i B. Heckera. Reżyseria Zbigniewa Sawana. Dekoracje—Kazimierz Pręczkowski. Muzyka — K. Priml. Dyryguje — Stanisław Nawrot. Sztuka grana jest w obsadzie połączonych sił operowych i dramatycznych. Udział biorą artyści operowi: Młynarczyk, Kazimierz Poreda, Brenoczy, Kłosówna, Kozorowska, Sendecki, Śmigielski, Skoraczewski. Artyści dramatyczni: Apa, Dzierzbicka, Iwański, Lindner, Lubelski, Rostkowska.

„Głęboko sięgają korzenie“. W pełnych próbach znajduje się sztuka dwu amerykańskich dziennikarzy Jamesa Gow i d'Usseau pt. „Głęboko sięgają korzenie“. Reżyseruje Ryszard Ordyński. Dekoracje Jan Hawryłkiewicz. Sztuka interesująca — grana już na scenach teatrów radzieckich i czeskich. Zapowiadają wystawienie jej także teatry francuskie.

„Dom przy drodze“ J. J. Bernarda. Przygotowuje się sztukę „Dom przy drodze“ (Nationales) J. J. Bernarda w reżyserii Ireny Ładosiówny. Dekoracje Stanisława Kawińska. Udział biorą Marian Bogusławski, Leon Łuszczewski, Stanisława Stępniówna.

„W. H. Inżynier“ Bruno Winawera. W próbach komedia Bruno Winawera pt. „WH. Inżynier“. Reżyseria Jana Kochanowicza.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia“ z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura“**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura“ pod adresem: Redakcja „Odrodzenia“ **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura“. Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału, zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura“. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

W ubiegłym tygodniu nagrodę zł1000 otrzymał ob. Andrzej Gądek (Łódź, Ogrodowa 28A), za wycinek z łódzkiego „Expressu Ilustrowanego“.

LUKSUSOWY PROJEKT

W dziale sportowym łódzkiego „Expressu Ilustrowanego“ (23 I) czytamy o przygotowaniach do „etapowego wielkiego wyścigu kolarskiego na trasie Warszawa—Praga—Warszawa“:

Zawodnicy przejdą solidną zaprawę na specjalnym obozie treningowym, który zostanie uruchomiony w Szczecinie w dniach 30 marca — 21 kwietnia rb. Trzytygodniowa zaprawa pod okiem fachowych instruktorów napewno przyczyni się wielce do podniesienia formy zawodników. Organizatorzy starają się posunąć w swych staraniach dalej jeszcze i zamierzają wysłać w sezonie zimowym ekipę kolarską na Rivierę francuską, gdzie warunki klimatyczne umożliwią wcześniejszy trening i to na drogach terenowo zbliżonych do trudnej trasy wyścigu Warszawa — Praga — Warszawa.

Czy aby zamówiono już wagony salonowe, które zawiozą naszych kolarzy na Rivierę? Czy wpadną i do Paryża? Czy zapewniono im odpowiednią ilość apartamentów u Ritza? Czy sprawiono im stosowne stroje, aby nie zrobili Polsce wstydu na Promenade des Anglais w Nicei?

Słowem: baczność, MSZ! Baczność, Komisjo Dewizowa!

MYŚL I SŁOWO

Z pisma „Pafawag“ (tj. Państwowe Fabryki Wagonów, nr 4):

Wgłębianie się w zawiłe problematy zagadnienia piękna, nie mającego charakteru autorytatywnego, z uwagi na jego autora, byłoby może bezcelowe, tym bardziej, że nie ono jest przedmiotem niniejszego referatu. Jeżeli, jednak, pozwoliliśmy sobie na skromną medytację, wchodzącą w granice kompetencji czynników abstrakcyjnych, to tylko dlatego, by Szanowni Czytelnicy mogli, łącząc własny pogląd we wspólną wypadkową z poglądem autora, przystąpić do tematu z właściwego punktu widzenia rzeczy.

Zawsześmy byli tego zdania. Tylko wyrazić nie umieliśmy.

ROZSYPANE PEREŁKI

Z recenzji w „Głosie Wielkopolski“ (nr 14):

Śpiew p. Stroińskiej-Doruchowej zachwycił pięknie rozprowadzoną koloraturą i porwał słuchaczy prawdziwie wysokim kunsztem artyzmu, nanizanym na perełki łudząco imitujących trelów ptaszęcych.

Na co, proszę, nanizano artyzm? Na perełki? A perełek na nic nie nanizano? To nanizać.

PRÓG I WODA

„Trybuna Wolności“ (9 XII.47) o stołówce w Wałbrzychu:

Ażeby się dostać do kuchni należy położyć kładkę, woda bowiem sięga do kostek i stan jej podnosi się zależnie od opadów atmosferycznych. Robotnice przy skrobaniu kartofli pracują w większości bez drewniaków, narażone na reumatyzm. Większość z nich nie posiada fartuchów i czepków. Woda dostaje się do środka z powodu niskiego progu. Należałoby tylko zreperować, względnie wstawić nowy próg...

Jeszcze względniej — tę wodę jakoś namówić, żeby się nie dostawała do środka. A już najwzględniej — pompą, bez litości!

NAJWYŻSZE

Z „Kuriera Codziennego“ (nr 26):

Na akademię przybyli: min. Sprawiedliwości — Świątkowski, min. Kultury i Sztuki — Dybowski, oraz delegaci najwyższych partii zblokowanych.

Przesada. Z poważaniem — najniższy sługa.

REKOMPENSATA

Z „Przekroju“ (nr 146):

Nasz współpracownik Henryk Hermanowicz otrzymał 25.000 zł nagrody Min. Kultury i Sztuki za artystyczne zdjęcie krajoznawcze. Gratulacje! Równocześnie jednak żona jego złamała nogę w Olsztynie. Więc się wyrównało.

Uważamy, że powyższą wzmianeczkę można było zredagować jeszcze wytworniej i jeszcze dowcipniej, niż to uczyniono. Merytorycznie zaś, niech nam wolno będzie zaznaczyć, że wcale się nie wyrównało. Wyrówna się dopiero wtedy, gdy autor wzmianki także pojedzie do Olsztyna i także... tego...

GAZOWY HUMOREK

W „Dzienniku Łódzkim“ (nr 23) ukazała się fraszka na temat odebrania pewnym grupom pracowników praw do korzystania z taryfy ulgowej za gaz. Oto początek:

Jest pewien malarz (dusza dobra),
co raz na rok sprzedaje obraz,
u niego to — bogactwo co dnia
rozpiera się w dziurawych
spodniach;

Utworek z humorkiem. Że niby smród, tak? Ha ha ha.

ACH, TE OBCE WYRAZY!

Z artykułu „Przed 15 laty Jo-jo opanowało świat“:

Ludzie popadli w prawdziwą herezję, puszczając Jo-jo po parę godzin z rzędu.

A Watykan milczał...

Z TERENU

Starosta jednego z powiatów Rzeczypospolitej opublikował broszurę pt. „Powszechne nauczanie ludności“. Na jej treść składa się dziewięć lekcji, ożywionych (należy to przyznać ob. staroście) chwalebną troską o podniesienie stopy życiowej wsi polskiej i nacechowanych szlachetnym zapałem reformatorskim. Z drugiej jednak strony, w broszurze znalazły się pewne pomysły, projekty lub zwroty stylistyczne, które, bez szkody dla pięknych zamiarów, można by śmiało pominąć. Oto przykłady:

Wszelkie nieużytki w r. 1948 muszą być zasadzone lasem, jak również parowy i góry.

Nie bójcie się nowych rzeczy, bo to niesie nauka, technika i chemia, szybko bierzcie na potrzeby wsi, tak aby z każdej wsi było miasto.

Do przebudowy ustroju rolnego w naszym powiecie potrzeba (tu następują 22 punkty, z których 20-ty brzmi): Browar do wyrobu piwa, bo nikt w Polsce nie powinien pić wody, tylko piwo lub gorzkie wino.

W imię ogólnego dobra dla podniesienia poziomu moralnego i gospodarczego ludności powiatu S., a tymczasem i dla dobra Państwa, Powiatowa Rada Narodowa jednogłośnie uchwaliła plan pracy (etc.).

Wobec faktu, że do odbudowy powiatu są używane samochody ciężarowe, należy poszerzyć wszystkie gminne drogi łącznie z rowami 12 mtr. szerokości, jak również poprostować do prostej linii.

Gminę M. skazać na hodowlę morwy, owiec i jedwabnictwa.

Do książeczki dołączono kartkę „Ważniejsze omyłki druku“, gdzie czytamy:

Na stronie 31 przed Lekcją Nr 3 brak podpisu: Starosta Powiatowy (następuje nazwisko).

Należy zaznaczyć, że podpis ob. starosty figuruje pod każdą z dziewięciu lekcji.

Sprostowano też słowa „tymczasem i dla dobra Państwa“. Powinno być: tym samym i dla dobra Państwa.

Poczynaniom ob. starosty towarzyszy nasza szczera życzliwość i sympatia. W jego planach jest rozmach a w słowach — żar pioniera industrializacji wsi. Mimo to uważamy, że nie należy w Polsce kasować starodawnego obyczaju picia wody. Wino zaś nie koniecznie powinno być gorzkie.

Z AMERYKI

Ogłoszenie w „Dzienniku Chicagoskim“ (24 VII.47):

Potrzeba dziewczyny do szycia na maszynie przy trumnach

Memento mori, szwaczuchno!

„A TO KOMAR Z DĘBA SPADŁ“...

„Słowo Polskie“ (nr 21) donosi:

Nocy wczorajszej rozległ się huk w mieszkaniu jednego z lokatorów przy ul. Marsz. Stalina 45a.

Przerażony właściciel mieszkania wpadł do pokoju stołowego i stwierdził, że powodem huku był wybuch butelki z limoniadą, stojącej w kredensie, którą rozsadził nadmiar gazu.

Jakże błogo robi się człowiekowi na duszy, gdy o takiej „sensacyjnej“ eksplozji czyta w czasach bomby atomowej...

Redaktor: KAROL KURYLUK. Adres redakcji: Warszawa, Daszyńskiego 14 tel. 85833 — Redaktor przyjmuje od g. 13 do 14. — Adres administracji: Warszawa, Daszyńskiego 16. telefon 87-112 Konto w PKO nr 1.4739.

Drukarnia Nr 2 „Czytelnik“, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-47202 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“.